Nr. 36 (1132). Warszawa, dnia 24 Sierpnia (6 Września) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Przestroga dla Europy.

Roosevelt, mając zamiar ubiegać się o prezydenturę na nowe czterolecie, objeżdżał w drugiej połowie sierpnia stany wschodnie, a głównie N. Anglię, dla republikanów najważniejszą. O trzech jego mowach przyniósł wiadomość telegraf. W pierwszej w Providence, w stanie Rhode-Island, zawiódł oczekiwania tego stronnictwa społecznego w Ameryce i Europie, które w danym wypadku etycznem nazwać można. Mówiąc o *trustach*, nazwał je użytecznemi, a przyznając nadużycia, zalecił tylko kontrolę ze strony państwa. W następnej mowie, w Augusta, rozwinął loty swoje nad dziedziną międzynarodową, przypomniał Europie niemiłą jej doktrynę Monroego. Wygłosił ją w przypuszczeniu zachcianek europejskich, niesięgających po za obręb kolonizacyi, o podboju wcale nie wspomniał. W trzeciej mowie, w Proctorville (Vermont) określił dokładnie znaczenie doktryny i dążność Stanów Zjednoczonych przy jej zastosowywaniu: nikt nie myśli napadać i zaczepiać; Ameryka na nikogo się nie rzuca, pragnie tylko, aby ją na jej lądzie rodzimym uszanowano. „Ameryka dla Amerykanów" wyłącza wszelkie nowe polityczne i kolonialne zdobycze Europy na przyszłość. I o tem Europa wiedzieć powinna.

Ponieważ do wygłoszenia doktryny nie było konkretnej, chwilowej lub miejscowej, podniety, a programat stronnictwa republikańskiego również nie wymagał obwarowania z tej strony, miłego dla mas zdobywanych słowem — zapytano w pierwszej chwili: co skłonić mogło Roosevelta do wystąpienia tak manifestacyjnego, podczas zupełnej ciszy w stosunkach nowego lądu ze starym niemal wyzywającego? Po krótkiem dochodzeniu dziennikarstwo europejskie stwierdziło, że pochop do swych dwu mów wziął prezydent unii z wydarzeń na tle powstania w Wenezueli. Stało się tam, że powstańcy zajęli stanowiska nadmorskie. Prezydent Castro zarządził blokadę. Konsulowie Anglii, Niemiec i trzymającej się ich nie wiadomo za jakie grzechy Francyi, zaprotestowali przeciwko blokadzie nieskutecznej, czysto papierowej. Wezwany przedstawiciel Stanów Zjednoczonych do uczestnictwa, odmówił go wręcz zupełnem uchyleniem się od współdziałania. Zasada nakazująca protestować, wypływała z umów międzynarodowych 1814—15 i 1856 r. Blokada powinna być rzeczywistą, rzeczywiście wykonaną, w siłę do wykonania zaopatrzoną; gołe jej ogłoszenie nic nie znaczy. Stanom Zjednoczonym nie szło jednak o tę zasadę, od której i one uchylić się nie mogą: odmówiły, bo nie chciały współdziałać z Europą w sprawie amerykańskiej i samo wystąpienie trzech mocarstw uznały za wypadek dla siebie niepożądany, zasadę Monroego gwałcący.

Tę zasadę Monroego warto przypomnieć. Jest to ustęp orędzia prezydenta tego nazwiska na 1-ą sesyę 18-go kongresu d. 2 grudnia 1823 r. Wywołał go wcale poważny moment dziejów powszechnych. Właśnie Święte Przymierze zarządziło było przywrócenie prawego porządku w Hiszpanii. Francya, wkupująca się w łaski sprzymierzonej Europy, kończyła już swe powołanie. Gabinety opiekujące się ludzkością podpisane na akcie z d. 26 września 1815 r., wraz z Francyą naradzały się nad tem, co zrobić z koloniami Hiszpanii, które zuchwale, za przykładem Meksyku, w Ameryce południowej powybijały się na wolność. W wir dyplomacyi swojej chciano wciągnąć i Anglię. Ale Canning zapowiedział Francyi, że Anglia żadnej interwencyi nie poprze, wszelkiego uczestnictwa odmówi, a zamącenie przez Europę swoich stosunków handlowych z nowemi rzeczami-pospolitemi uważać będzie za powód wystarczający do uznania ich za państwa prawowite, tak samo i w wypadku podjętej interwencyi zbrojnej w celu narzucenia tym państwom jakiejkolwiek formy rządu. Anglia miała już wtedy zasadnicze porozumienie z Unią, którą — przyznać to trzeba — zachęciła do odważnego wystąpienia przeciwko Św. Przymierzu.

W rządzie amerykańskim roztrząsano zagadnienie: co robić, czyby interwencyi dyplomatycznej lub nawet faktycznej nie uprzedzić jakimś aktem własnym? Anglia do niego zachęcała. Przesłano Jeffersonowi akta sprawy do opinii, zażądano od niego rady. Sędziwy mędrzec-obywatel zaopiniował, ażeby wystąpić z manifestem i w tej opinii już nakreślił samą zasadę Monroego. Ów ustęp orędzia z d. 2 grudnia 1823 r. jest tylko omówieniem jasnego, po ludzku podniosłego a głębokiego politycznie zdania Jeffersona. W stylizacyi orędzia dwa ustępy są najważniejsze: 1) Wszelkie usiłowanie mocarstw sprzymierzonych dla wprowadzenia własnego systematu politycznego w jakiejkolwiek części Ameryki jest niebezpiecznem dla St. Zjednoczonych; 2) wszelkie usiłowanie zniesienia nowych rzeczypospolitych, albo też narzucenia im przemocą tego, coby o losie ich stanowić mogło, będzie czynem nieprzyjaźni względem Stanów Zjednoczonych. Wyrażenie: „Ameryka dla Amerykanów" jest późniejszem. Wypadek obecny jest o wiele łagodniejszy od owego z przed lat 80; tamten też wy-

tworzył zasadę, ten ją tylko z ukrycia wyprowadza. Można mieć pewność, że Stany Zjednoczone w obecnym wypadku odrazu wzięły na siebie rolę opiekuna Wenezueli i że tej roli nie sfuszerują. Małość sprawy na teraz wyłącza możliwość większego wypadku. Ale przyszłość w łonie swem chowa niejeden wypadek wielki, i co więcej, taki, w którym Stany Zjednoczone będą miały Anglię przeciw sobie, a nie za sobą. Starcie pomiędzy starym światem a nowym jest koniecznością dziejów. Wielka unia musi dążyć do zamienienia całej Ameryki w Stany Zjednoczone wszechamerykańskie. Monarchiczna Europa, a przedewszystkiem Anglia, musi bronić nietylko swego posiadania na lądach amerykańskich, ale i swego dobra w ideach kierujących życiem politycznem i określających samą formę rządu. W dalekiej przyszłości wielka wyprawa na Amerykę nie jest nieprawdopodobną.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Wśród grzmotu dział“ wjechał cesarz niemiecki wraz zmałżonką do Poznania dnia 2 b. m. o godzinie 6-ej po południu. Nadburmistrz Witting, powitał gości mową, z której w Berlinie wycięto mu całą politykę; zostały nadzieje municypalne, sztandar rzeszy, błogosławieństwo rządów pruskich i rozkwit pod takiem ubłogosławieniem pewny. Cesarz również ominął politykę: miał przed sobą nie wrogów, których trzeba tępić, ale miasto, które trzeba popierać. Właśnie w samym dniu odwiedzin podpisał rozkaz, znoszący ograniczenia forteczne, dolegające Poznaniowi. Cesarstwo zamieszkali w komendanturze. Tu oczekiwały już „władze“ i znakomitości; pomiędzy niemi i arcybiskup i jego sufragan Likowski. Sprawa Loehninga jeszcze nie rozstrzygnięta. Ciężkie ramię spada na duchowieństwo: każdy ksiądz ma otrzymać czarną księgę, o ile na nią zasłużył czynami, sięgającymi w głąb trzydziestolecia.

Król włoski przyjmowany d. 26 z. m. w Goeschenen przez radę związkową—co naprawiło ostatecznie zepsute przez Silvestrellego stosunki — d. 27 t. m. wieczorem zawitał do Poczdamu, a nazajutrz do Berlina. Tu przedewszystkiem wbić musiał 41 nowych gwoździ w 41 nowych chorągwi. Na obiedzie wieczorem tego dnia cesarz powitał króla jako syna Humberta, rycerza bez strachu i bez skazy, i jako wiernego sprzymierzeńca monarchii. Prinetti, który towarzyszył królowi, odbył narady z Bülowem i Richthofenem o stosunki handlowe. D. 30 b. m. wielka parada na Tempelhofie, wieczorem obiad pożegnalny bez toastów, a nazajutrz zrana odjazd gościa do Frankfurtu n. M. Zwykłe ujadanie prasy na smyczy nie ma żadnej wagi. Możnaby tylko zarządzić dochodzenie prawdy nad twierdzeniem, iż trójprzymierze podpisano bez zmiany tak, jak było dawniej. Głupie też jest utyskiwanie nacyonalistów, że gdyby Delcasse był zręczniejszym, to nie byłoby ani Rewla, ani Berlina. Ani Rewel, ani Berlin nie zaszkodził Francyi.

We Francyi przewrót w służbie dyplomatycznej: Bompard — Petersburg, Bihourd — Berlin, Cambon — Madryt, Jusserand — Waszyngton, Raindre — Bern, Crozier — Kopenhaga.

Prezydent Roosevelt cofa się. W Providence (Rhode Island) powiedział, że skargi na „trusty“ (zmowy milionerów przemysłowych) są po większej części nieuzasadnione; potrzeba je wziąć tylko pod dozór państwowy— nowa centralizacya. W Augusta zajął się doktryną Monroego. Jest ona teraz ważniejszą, niż kiedykolwiek. Ameryka nie może, nie powinna być otwartą dla kolonizacyi europejskiej. Na straży doktryny muszą stać Stany Zjednoczone, bo one jedne tylko mają potęgę wystarczającą. W Proctorsville (Vermont) odjął doktrynie charakter napastniczy. Rdzeniem jej: Ameryka dla Amerykanów.

Komitet macedoński podsyca wzburzenie w całej Macedonii. Turcy obawiają się napaści na kolej do Tessaloniki. Szach perski w Londynie przyjmował deputacyę armeńską: niepokój w Turkach i ustępstwa. Prawa wyjątkowe w Armenii zniesione — na papierze.

Anglia wyparowała już dyplomatycznie Krugera z Holandyi. Wspaniały starzec zamieszka w Mentone.

Wszechniemcy w Austryi podburzają ludność niemiecką Pesztu i okolicy przeciw szkołom ludowym madiarskim.

Lwów ma być zamieniony na fortecę pierwszorzędną.

Pacak zapowiada straszliwą obstrukcyę na jesień, jeśli Czesi nie dostaną urzędowego języka wewnętrznego, oczywiście czeskiego, i uniwersytetu w Morawii.

W Barcelonie prawo wojenne przedłużono.

W sześciu hrabstwach Irlandyi, nadto w Dublinie i w Limericku — stan wojenny.

Cesarz Wilhelm ma d. 5 listopada odwiedzić Edwarda VII i zabawić u niego pięć dni.

Loubet ma się zjechać z Wiktorem Emanuelem III w Palermo lub w Neapolu; tylko w razie rozognienia się stosunków z Watykanem — w Rzymie.

Niemcy ubiegają się o kawałek terytoryum holenderskiego na wyspach Sundzkich pod stacyę węglową. Uśmiecha im się wysepka Riomo, wprost angielskiego Singapore; mieć jej nie będą.

W Kongo francuskiem tuziemcy powstali — podobno wskutek podżegań angielskich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O Morskie Oko.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co wkoło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro,
Odzwierciedlając w łonie—głazów świat zamarły.

Adam Asnyk.

Spokojny i cichy Grac, stolica górzystej i malowniczej Styryi, a zarazem ulubiona przystań emerytów austryackich, w ciągu dwu ostatnich tygodni skupiał na sobie, mówiąc bez przesady, uwagę całej niemal inteligencyi polskiej. Tam bowiem, nad brzegami Muru, bystro toczącego swe spienione wody, u stóp panującej nad grodem Zamkowej Góry, rozegrał się i zakończył pierwszy akt rozgłośnego sporu granicznego między Galicyą a Węgrami o Morskie Oko, tę ulubioną przez ogół nasz, ukochaną przez poetów perłę tatrzańską, co lśni, według pięknego wyrażenia Kazimierza Tetmajera, „zamknięta w granitów kotlinie, jak błyszczący dyament w stalowym pierścieniu.“

Jeszcze przy końcu roku ubiegłego, w krótkiej notatce przypomnieliśmy czytelnikom naszym dotychczasowy przebieg i istotę sporu, który ciągnął się przez lat wiele, przybrawszy pozornie cechy choroby chronicznej o względnie łagodnym przebiegu, i dopiero w ciągu dziesięciolecia ostatniego, z powodu bezwstydnej napastniczości madziarskiej z jednej strony, a bezczynności i uległej apatyi władz galicyjskich z drugiej — spór ten zajątrzył się i rozognił, zwrócił uwagę i baczność szerokich kół społeczeństwa polskiego, zajął żywo opinię publiczną, pod której naciskiem postanowiono wreszcie załatwić sprawę przez ustanowienie międzynarodowego sądu rozjemczego. Odpowiednie postanowienia dla Węgier i Austryi podpisane zostały przez cesarza Franciszka Józefa przed sześciu

---

Andrzej Niemojewski.

METAFIZYK.

Takim przydomkiem uczcili go koledzy, a stało się to z następującego powodu.

Razu pewnego niejaki Jaś Zabijak oświadczył podczas pauzy, że odpowie na wszystkie zapytania, jakie mu koledzy stawią. Zerwano się z ławek, otoczono go dokoła i posypały się pytania, jak z rękawa:

— A wiesz ty, kto to był Bismarck?

— A wiesz ty, co to są plamy na słońcu?

— A wiesz ty, co to jest giezło?

Jaś Zabijak odpowiadał z niewzruszoną powagą:

— Bismarck był kanclerzem państwa niemieckiego. Plamy na słońcu są to ciemne płaszczyzny, zauważone przez astronomów na tarczy świetlnej słońca. Giezło jest częścią ubrania.

Wysilano się na zapytania, przerzucano gorączkowo podręczniki, Jaś Zabijak zwyciężał. Kolegów ogarnęło zdumienie, potem głucha wściekłość.

Kiedy wreszcie poczęli już łamać sobie głowy nad tem, jakieby mu jeszcze pytanie stawić, odezwał się z kąta cichym, potulnym głosem Kazio Kropiwnicki:

— A wiesz ty, co to jest metafizyka?

Jaś Zabijak zmieszał się. Koledzy zrozumieli w lot, że nie wybrnie; poczęli go więc napierać ze wszystkich stron:

— Gadaj, co to jest metafizyka?

Zabijak poczerwieniał, toczył wzrokiem, jak epileptyk, zaciskał pięści, ale ostatecznie nie mógł odpowiedzieć na pytanie. Począł tedy odpowiadać na to, o co pytany nie był.

— Wiesz ty, Kropiwnicki, ty jesteś straszny osioł! Cymbałem i niedojdą nazwałbym ciebie także. Co ty wiesz o metafizyce? Chodźno tu, ale zaraz! Wezmę cię za czuprynę, przechylę przez ławę w tył i pokaże się odrazu, że cię twoja metafizyka nie obroni. No, chodź tu, chodź, słyszysz?

Kropiwnicki naturalnie nie ruszył się z ławki. Więc koledzy wzięli go pod pachy, za ręce, za nogi i stawili przed Zabijakiem. Ten zrobił, co zapowiedział. Chwycił Kropiwnickiego za czuprynę, przegiął w tył przez ławę i krzyknął:

— Metafizyk!

Cała klasa powtórzyła: metafizyk! Odtąd imię i nazwisko chłopaszka miało już tylko czysto urzędowe znaczenie. Metafizykiem nazywali go koledzy, niekiedy nawet profesorowie, nawet ulicznicy hukali za nim, gdy wracał ze szkoły:

— Metafizyk!

Kropiwnicki nie zwracałby na to uwagi, gdyby koledzy poprzestali na tem. Ale, niestety, urażona duma Zabijaka przy każdej sposobności umiała obmyśleć nową a coraz bardziej dokuczliwą zemstę. Poczęły się szturchańce, kuksy, pstryczki w nos. Kazio przestał brać udział w zabawach zbiorowych, nie opuszczał stancyi, a na

blizko laty, lecz opieszałość Madziarów, nie mogących się zdecydować na wybór arbitra, a następnie superarbitra, sprawiła, że rozstrzygnięcie procesu przeciągnęło się aż do obecnej chwili.

Sam przedmiot sporu, rozważany wyłącznie ze stanowiska gospodarczo-ekonomicznego, jest właściwie mówiąc, drobiazgiem, przy którym nie wartoby może obstawać tak uparcie, gdyby nie odgrywały tu roli inne względy, gdyby przedewszystkiem najazd madziarski nie zagrażał Morskiemu Oku, uważanemu wraz z okolicami najbliższemi przez ogół nasz, jak się słusznie wyraził w *Tygodniku Ilustrowanym* dr. St. Eliasz Radzikowski, za pewnego rodzaju skarb moralny i wspólny majątek narodowy. Jak wiadomo, chodzi tu o linię graniczną. Naturalna i przyjęta od wieków granica między Węgrami a Polską idzie szczytem gór, otaczających dolinę Morskiego Oka i Czarnego Stawu, od Miedzianego Szczytu przez Czubrynę, Mięguszowiecką Przełęcz, Mięguszowieckie Szczyty, Rysy, Żabi Wierch i Żabie, dochodząc do połączenia t. zw. Białej Wody z potokiem Rybim, wypływającym z Morskiego Oka, które, jak wiadomo, ma i drugą, niemniej rozpowszechnioną nazwę Rybiego jeziora. Dwa te strumienie noszą następnie razem nazwę Białki i tworzą w dalszym ciągu mokrą granicę między obu krajami. Węgry jednak, powołując się na sfałszowane w r. 1796 w celach politycznych mapy Seegera, na kilka wątpliwej wartości dokumentów, a zwłaszcza na głośny akt sprzedaży posiadłości koło Morskiego Oka w wieku XVI przez Olbrachta Łaskiego, który je zaliczył do swoich dóbr węgierskich, usiłują przesunąć granicę ze szczytów gór w dolinę po stronie polskiej i poprowadzić ją środkiem Czarnego Stawu i Morskiego Oka, wmawiając w nas i w siebie, że potok Rybi, wypływający z naszego jeziora, jest właściwie początkiem Białki i tworzy naturalną również, ale mokrą granicę między Galicyą a Węgrami. Cały obszar sporny, uwzględniając już największy apetyt węgierski, ulegający wahaniom w miarę okoliczności, wynosi zaledwie 900 morgów, a całe Morskie Oko ma 59 morgów przestrzeni. Nic dziwnego, że Węgrzy, nie chcący zrozumieć istoty sporu, wyrażają się o nas z przekąsem, że podnosimy tyle hałasu, jakby chodziło co najmniej o zabór połowy *ich* kraju, a dr. Winklerowi z Lozanny, odgrywającemu w tym sporze, po zrzeczeniu się dr. Rotha, decydującą rolę superarbitra, tak spieszno było obejrzeć jeziora, w których obronie prof. Balzer wygłosił mowę — czterodniową. Poczciwemu Szwajcarowi trudno zapewne pogodzić się z myślą, że są to tylko średniej wielkości stawy górskie, jakich w Tatrach spotyka się sporo.

W zakończonej przed kilku dniami w Gracu pierwszej części rozpraw sądu rozjemczego, ze strony Galicyi występowali: dr. Aleksander Mniszek Tchórznicki, prezydent sądu krajowego we Lwowie, w charakterze arbitra austryackiego; prokurator skarbu, dr. Wiktor Korn, jako dodany arbitrowi do pomocy referent, oraz profesor Oswald Balzer, jako obrońca. Arbitrem węgierskim jest prezydent sądu wyższego w Presburgu, p. Lehoczky, mający zdolnego koreferenta w osobie radcy apelacyjnego Labana. Obrońcą ze strony rządu węgierskiego jest radca wydziałowy, p. Bolcs. Najważniejszą w tym sporze jest niewątpliwie osoba superarbitra, bo od jego głosu zależeć będzie decyzya. Na szczęście dla nas, dr. Winkler, prezydent trybunału związkowego w Lozannie, ma być nietylko dobrym prawnikiem, ale i człowiekiem bezstronnym. Niedaleka przyszłość pokaże, czy była to opinia zupełnie słuszna.

Nie możemy tu, oczywiście, pozwolić sobie na pobieżne choćby streszczenie właściwego przebiegu rozpraw. Wyczerpany w przemówieniach arbitrów i obrońców materyał jest tak obszerny, że nawet pisane z dnia na dzień korespondencye do pism codziennych dają o nim bardzo ogólnikowe pojęcie, nie pozwalając naprawdę przewidzieć wyroku w tej sprawie. Jeżeli chodzi o słuszność, to ta, zarówno ze stanowiska historycznego, jak prawnego i logicznego, należy niewątpliwie do nas. Nie trzeba zresztą zawiłych dowodzeń jurydycznych: dosyć przejrzeć powszechnie przyjęte nazwy okolicznych potoków i wyniosłości, dosyć wsłuchać się w podania i pieśni ludowe, by dojść do wniosku, że nietylko oba sporne dziś jeziora, ale i duży szmat ziemi po za granicą dzisiejszą—stanowiły kiedyś niewątpliwą własność naszą, o czem zresztą świadczy i historya. A niemałym dowodem dodatkowym mogłaby być i ta miłość gorąca, którą Morskie Oko otoczone jest zarówno przez górali okolicznych, broniących naszych praw do niego z narażeniem swobody i życia, jak przez cały inteligentny ogół polski, z którego wyszli przecież i tacy piewcy czarów tatrzańskich, jak Asnyk, Konopnicka, Kasprowicz, Nowicki, Tetmajer, że wymienię tylko najgłośniejszych... Gdyby zebrać i odczytać przepiękne strofy, poświęcone przez tych poetów Morskiemu Oku, wytworzyłoby się — nie tak obszerne i przekonywające, nie tak poważne i pracowite, lecz bardziej jeszcze od Balzerowskiego wzruszające i w rodzaju swoim jedyne — *plaidoyer* w obronie praw polskich do przecudnego zakątka ziemi, który nienasycona zaborczość madziarska pragnie nam znowu zagrabić.

Ale i Węgry mają na korzyść swych uroszczeń pewne dokumenty i fakty, mają pewną ilość (znacznie zresztą mniejszą, niż my) map urzędowych i prywatnych, mają ogromną pewność siebie, swadę, przekorność i zaczepność, oraz — zdemaskowaną parokrotnie w ciągu procesu — umiejętność nieprzebierania w środkach, co wszystko razem czyni ich przeciwnikami, których lekceważyć nie można, wobec superarbitra zwłaszcza, nieobeznanego dokładnie z terenem spornym i nieoryentującego się dobrze w obfitym materyale historycznym. Są jeszcze jakieś ukryte obawy, o których sprawozdawcy pism naszych wspominają tylko niewyraźnie, nie mogąc czy nie chcąc wypowiedzieć na razie całej prawdy. Miejmy jednak nadzieję, że przedsięwzięte obecnie oględziny na miejscu i zarządzone pomiary geometryczne wypaść muszą ostatecznie na naszą korzyść.

Podczas rozpraw w Gracu niezbyt korzystnem dla nas było, jak przyznają ogólnie, bezstronne aż do przesady stanowisko arbitra ze strony Galicyi dr. Tchórznickiego, który w swem przedstawieniu istoty sporu i dziejów procesu nie wahał się przytaczać i danych, świadczących, pozornie przynajmniej, przeciw nam, kiedy arbiter węgierski odrazu wystąpił poprostu w roli bezwzględnego adwokata reprezentowanej strony. Niemniej jednak wyczerpujące przemówienie Tchórznickiego, chociaż przerywane gęsto wycieczkami polemicznemi ze strony przedstawicieli Węgier, dalekich od gentelmańskiej taktyki Polaków, demonstrancya map, wykazy podatków, pobieranych w ostatnich czasach stale przez skarb austryacki, a nie węgierski — uderzyło swą gruntownością i—nie popsuło sprawy.

Po przemówieniach arbitrów wystąpili obrońcy. Dr. Bölcs mówił tylko dwie godziny, nie przytoczył ani jednego nowego argumentu, potępił w czambuł, bez odrobiny krytycyzmu, wszystkie twierdzenia arbitra galicyjskiego i zakończył wywód swój prośbą, aby sąd rozjemczy, imieniem prawa i sprawiedliwości(!) rozstrzygnął spór w duchu stanowiska węgierskiego. Mowa prof. Balzera trwała dni cztery i była poprostu taranem potężnym, rozbijającym w puch sofistyczne wybiegi Węgrów. Profesor wszechnicy lwowskiej przygotowywał się do tego wystąpienia przez długie miesiące, przestudyował olbrzymi materyał archiwalny i włożył w ten spór całą swą duszę, pełną młodzieńczego zapału i niezachwianej wiary w zwycięstwo pięknej sprawy, której służy. Cechy tej głębo-

---

pauzach przylepiał się do ławy, aby tylko nic zwrócono na niego uwagi.

Było to szczególne dziecko. Sam się właściwie wychowywał. Ojciec zauważył go przypadkiem w domu:

— Patrzcie państwo—rzekł — na śmierć zapomniałem, że i tego jeszcze mam!

Miał bowiem jeszcze sześć córek, sporą dzierżawę, dużo długów i awantury gospodarskie od świtu do zmierzchu.

Więc gdy Kazia „odkrył,“ pomyślał z jakie pięć minut nad jego przyszłością, i żeby nie marnować czasu, kazał zaraz zaprzęgać.

— Do szkoły kawalera, ot i kwestya rozwiązana! Szkoła, panie, jest na to, aby rodzice sobie głowy nie łamali, co mają z dziećmi zrobić.

Była to niezaprzeczenie ważna chwila w życiu Kazia. Ale były ważniejsze.

Pierwszą taką chwilą było całkowite zaćmienie księżyca. Kazio dowiedział się o niem na kilka dni przed ową pamiętną nocą, w której miało się ukazać na niebie to niezwykłe zjawisko. O północy wysunął się cichutko z łóżka, stanął w koszuli przy oknie, skostniał z zimna, ale posterunku nie opuścił. Widział wszystko od początku do końca. Zjawisko wywarło na nim wrażenie ogromne. Powiedział sobie, że zostanie astronomem i że będzie przez całe życie badał przez teleskop ciała niebieskie.

Zakradł się do szafy z książkami, podkrywał różne stare atlasy i zebrał nawet pewien zapas wiadomości, o które nie byłby go nikt w całym domu posądził. Nikt zresztą nie zajmował się nim zbytnio. Matka patrzyła tylko rano, czy jest porządnie umyty i uczesany. Siostry z dyżuru gospodarskiego pilnowały, aby wieczorem pacierz zmówił. Więcej od niego nie wymagano. Ale też i nikt nie przeszkadzał. Czasem tylko zrobiono mu awanturę, gdy go znaleziono nocą przy oknie w jednej koszulinie, drżącego z zimna.

Druga ważna chwila w jego życiu zdarzyła się w rok później. Szukał w szafie jakiej książki, którąby mu objaśniła, co to są gwiazdy podwójne. Szukał ich na niebie przez trzy wieczory z rzędu i nie mógł odnaleźć. Wtedy natrafił na jakiś pożółkły tomik, otworzył, a oczy jego padły na następujące wiersze:

> Zamknijcie drzwi od kaplicy
> I stańcie dokoła trumny,
> Żadnej lampy, żadnej świecy,
> W oknach zawieście całuny,
> Niech księżyca jasność blada
> Szczelinami tu nie wpada,
> Tylko żwawo, tylko śmiało! —
> — Jak kazałeś, tak się stało! —
> — Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
> Co to będzie, co to będzie!

Ustęp powyższy podziałał niesłychanie na imaginacyę chłopaka. Przeczytał jednym tchem całą scenę. Na nieszczęście przechodziła właśnie najstarsza siostra, a obaczywszy tę książkę w ręku malca, zabrała mu ją, mówiąc tylko:

— To nie dla takich smarkaczów, jak ty!

Kazio błąkał się po ogrodzie i nie mógł się opamiętać. Scena w kaplicy stała wciąż przed jego oczami. Brzmiało mu w uszach pienie chóru: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie!“

kiej wiedzy i silnej wiary nosiło właśnie całe jego przemówienie obrończe, nużące może i zbyt rozwlekłe dla obojętnego słuchacza, ale pełne wysokiej wartości naukowej i stanowiące zarazem wzór przepiękny, w jaki sposób wywiązywać się należy z podjętych względem narodu swego obowiązków. W szczegóły, znane zresztą zapewne większości czytelników naszych ze sprawozdań w pismach codziennych, wdawać się tu nie możemy; zaznaczamy tylko ogólny głos opinii publicznej, że jeśli Morskie Oko zostanie ostatecznie przysądzone Galicyi, będzie to głównie, jeśli nie wyłącznie, zasługą Balzera.

Rzecz charakterystyczna, że ani opinia publiczna, ani prasa węgierska nie zajmują się prawie tym procesem, kiedy u nas stanowił on i stanowi przedmiot zainteresowania najwyższego. Mimowoli na myśl przychodzi znane podanie o sądzie salomonowym...

W chwili, gdy piszemy te słowa, odbywają się właśnie oględziny na miejscu terytoryum spornego, które potrwać mają do niedzieli. Jednocześnie dokonane zostaną pomiary przez zawezwanego umyślnie w charakterze rzeczoznawcy, prof. Beckera z Zurychu. Po ukończeniu postępowania dowodowego, sąd zapewne wróci znów do Gracu, gdzie nastąpią jeszcze przemówienia obrońców, poczem dopiero odbędą się—nie jawne już — narady ostateczne sędziów i zapadnie wyrok, którego oczekiwać powinniśmy z gorącem przeświadczeniem o zupełnej słuszności sprawy naszej.

Wł. B.

Listy z Francyi.

Paryż, d. 29 sierpnia.

Od kilku lat we Francyi ludzie dobrej woli i szerszego umysłu rozmyślają poważnie, jakby w obecnych warunkach robotnik mógł odpocząć na świeżem powietrzu przez kilka letnich tygodni. Dla dziatwy niezamożnej paryska rada miejska poświęca oddawna przeszło dwieście tysięcy franków rocznie, a różne towarzystwa kolonij letnich wysyłają na wieś z samego Paryża kilka tysięcy dzieci. Dla dorosłych zaledwie przed dwoma laty pierwszy uniwersytet ludowy z dzielnicy S-go Antoniego chciał urządzić kolonie letnie na czas wakacyjny, zamiar jednak nie doszedł do skutku, jak zawsze z powodu trudności opuszczenia warsztatu przez robotnika, bez narażenia się na głód, nędzę i utratę pracy.

Dopiero w tym roku grupa jednostek energicznych, na czele której stoi publicysta Tery, głośny autor „Cordicoles,“ zdołała zorganizować kolonie letnie przeważnie dla robotnic paryskich. Kandydatki do wyjazdu zawczasu, jeszcze podczas zimy, składały co miesiąc po kilka franków, aby powoli uzbierała się suma od 45 do 65 franków, za którą miały odbyć blisko tysiącokilometrową podróż nad brzegi oceanu, korzystając przytem z całkowitego dwu lub trzytygodniowego utrzymania. Narazie zdawało się, że towarzystwo to, bardzo trafnie nazwane „La nature pour tous“ („Przyroda dla wszystkich“), nie obejdzie się bez jakiej pożyczki, bez jakiej zapomogi filantropów, tymczasem rzeczywistość zadała kłam sceptykom, nic bowiem nie ma ono wspólnego z filantropią, oparte jest, według pierwotnego zamiaru, jedynie na solidarności — tem najszczytniejszem uczuciu ludzkiem, które zdobywa największe przeszkody i niemal cudów dokonywa.

Towarzystwo liczy do czterystu członków, a w swej skromnej willi nad morzem w Chatelaillon może pomieścić kilkadziesiąt osób. Życie tam tak pogodne, pobyt tak przyjemny, atmosfera tak miła, tyle harmonii i wolności, choć to jest rodzaj falansteru, że goście wyjeżdżają ze łzami i roznoszą szeroko sławę swej letniej oazy. To też kandydatów zgłasza się coraz więcej, a willa w Chatelaillon cieszy się wielkiem uznaniem: mieszkańcy okoliczni starają się dogodzić czem mogą, różne towarzystwa, jak np. uniwersytet ludowy w Rochefort, odwiedzają i zapraszają do siebie, kasyno miejscowe daje darmo bileta do parku i teatru, nawet sąsiedni bogacze ofiarują swe dwory i pałace do pomieszczenia podobnych instytucyj.

Duszą tego falansteru jest żona znanego prezesa sądu z Château Thierry, pani Magnaud, osoba niezmiernej słodyczy, taktu i energii, oraz znana z pracowitości panna Danel, inicyatorka towarzystwa, mającego na celu uwalnianie upadłych kobiet z otchłani rozpusty.

Towarzystwo „Przyrody dla wszystkich“ nazwało swą willę „Mimi Pinson,“ jest ono jednak całkiem odrębne i co do swego zadania i co do środków od instytucyi, noszącej tę samą nazwę. Ta ostatnia bowiem jest czysto filantropijną i ma na celu rozdawanie darmo robotnicom paryskim i ich rodzicom biletów do opery i teatrów. Założona została w roku zeszłym przez Gustawa Charpentier'a, kompozytora głośnej opery „Louise,“ organizatora uroczystości wieńczenia Muzy ludu i gorącego krzewiciela wśród warstw nieuświadomionych zamiłowania do muzyki, sztuki i wogóle piękna.

Choć towarzystwo „Mimi Pinson“ ma zadanie bardzo skromne i niewinne i choć współudział w niem biorą osoby najrozmaitszych obozów (wielkie damy paryskie, autorowie dramatyczni, kompozytorzy, dyrektorzy teatrów, dziennikarze), znaleźli się jednak ludzie, i to członkowie Instytutu, jak znany arystokrata hrabia d'Haussonville, którzy dziś gromy na nie rzucają. Ciekawe argumentacye przytacza ten zwolennik monopolu rozrywki dla posiadaczy herbów, mitry lub pełnej kalety. Podług niego, robotnice nazajutrz po bytności w teatrze, nie mają zwykłego zamiłowania do pracy, umysł ich gdzieś się błąka; powtóre, pomimo bezpłatnych biletów, narażone są na rozmaite wydatki tualetowe i przez to przyzwyczajają się do strojów i trwonienia pieniędzy, a potrzecie mają sposobność w teatrze zawiązać jakąś ściślejszą znajomość, która może zakłócić ich spokój. Słowem, hrabia d'Haussonville chciałby widzieć robotnicę zawsze, jako bezmyślną istotę, zaprzągniętą do jarzma i oddającą swe wdzięki, nie według swego upodobania, ale na skinienie swego pana. Nie można się dziwić, że nie cierpi on instytucyi, założonej przez Charpentiera, którego bohater Julian w „Louise“ wyraźnie mówi: „Każda istota ma prawo być wolna, każde serce powinno kochać.“

Gdy tysiące dziatwy paryskiej, korzystając z wakacyj, zdała od stolicy nad brzegami morza, na wsi lub w górach napawało się naturą i świeżem powietrzem — Paryż z wielkim entuzyazmem i nader gościnnie podejmował gromadkę dziatwy belgijskiej, należącej do największej kooperatywy gandawskiej „Vooruit.“ Szkolna ta karawana składała się z 16 dziewczynek w wieku od 12 do 14 lat, i z 14 chłopców, z których najstarszy miał lat 13, a na jej czele stał energiczny zwolennik kooperatyw, Bogaerts, wraz ze swą żoną.

Od kilku już lat istnieją w Gandawie i rozwijają się coraz bardziej karawany szkolne, a jak inni nazywają — podróżujące szkoły. Każde dziecko, zapisane do „Vooruit,“ otrzymuje książeczkę, do której towarzystwo współdzielcze wpisuje co tydzień dwa i pół centimy, samo zaś składa zwykle pięć, a najwyżej dwadzieścia na tydzień i wszystkie te składki idą do wspólnej kasy wycieczek, którą powiększają znacznie dochody z dziecinnych przedstawień teatralnych; w roku bieżącym suma wzrosła do 2,500 franków. Posiadając pewne fundusze, „Vooruit“ może śmiało urządzać dla swych wychowańców różne wycieczki, tem bardziej, że i w Belgii i za

---

Wiersze te wybiły mu z głowy astronomię. Innem okiem począł patrzeć na niebo, na gwiazdy, na otaczające go zjawiska. Tajemniczy wiersz zbudził w jego duszy jakąś muzykę, która wzbierała jak chóry kościelne podczas nabożeństw pasyjnych. Najpierw wysilił się iście na przebiegłość, aby wydobyć zabraną książkę. Potem ukrył ją na strychu przy małem okienku w dachu. Tam też ją odczytywał. W głowie jego poczęły się snuć sceny za scenami, widywał przed sobą tłumy mglistych postaci, które jak chmury kotłowały się przez dal przyćmioną, zmroczoną, posępną. Lęgły mu się w głowie jakieś wołania, jakieś słowa i mowy. Naciskał skronie, bladł patrzył przed siebie, nic nie widząc. Trwało to nieraz całemi godzinami.

Razu pewnego postanowił wybrać się na cmentarz. Ale mógł wybrać się tylko w dzień. Był tam. Obszedł wszystkie groby, ale doznał jakby zawodu. Letnie słońce jaśniało na bezchmurnem niebie, brzozy szumiały łagodnie, brzęczały różne owady, ćwierkały ptaki. Kazio myślał długo, aż powiedział sobie: przyjdę tu nocą.

Nie mógł jednak zamiaru swego wprowadzić w czyn, bo go właśnie w tym czasie ojciec wywiózł do szkół. Ale też tam właśnie nastąpiła owa trzecia i może najważniejsza chwila w jego młodem życiu.

Grano w piłkę na rozległym dziedzińcu. Już zapadał zmierzch. Wtedy około Zabijaka zebrała się gromadka i coś sobie do ucha szeptano. Zaciekawiło to Kropiwnickiego. Po chwili wszyscy koledzy ruszyli razem wązką uliczką. Kropiwnicki poszedł za nimi. Chłopcy zatrzymali się przed jakimś budynkiem, poszeptali i weszli do środka. Kropiwnickiego uderzył zaduch krwi i już chciał się cofnąć, kiedy nagle zobaczył scenę następującą:

Dwóch ludzi wprowadziło wołu. Spętali go szybko i jednym ruchem powroza powalili o ziemię. Wtedy wysunął się rzezak, nachylił się, lewą ręką uniósł nieco skórę na grdyce zwierzęcia, a w prawej trzymał długi, wyostrzony nóż. Ale z głębi ozwał się jakiś szwargot, a rzezak począł odpowiadać, nie puszczając lewą ręką skóry i trzymając wciąż w pogotowiu nóż w ręce prawej. Kropiwnicki zdrętwiał. Patrzył na tę scenę przerażonemi oczyma. Zdawało mu się, że skamieniał, że wrósł do ziemi. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Jaś Zabijak, stojący na czele kolegów, wyciągnął rękę w stronę powalonego wołu i śród ciszy rzekł półgłosem:

— Uważajcie, to bydlę poleca teraz duszę Bogu...

W tej chwili nóż błysnął, rzezak pociągnął i krew bluznęła. Wół wstrząsnął się raz i drugi.

Kazio wybiegł z rzeźni dygocąc, wyjąc niemal z wrażenia. Wnet potem dostał mdłości. Schorował się, ledwie się dowlókł do domu i przez całą noc nie zmrużył oka, płacząc i gryząc zębami kołdrę. Ciągle miał przed oczami ową tragiczną, nieludzką scenę i co kilka chwil słyszał dobitne słowa Jasia Zabijaka:

— Uważajcie, to bydlę teraz poleca duszę Bogu...

(D. n.).

granicą wiele ludzi ubiega się o umieszczenie bezpłatne małych gandawczyków. Część dzieci zwiedza corocznie okolice Flandryi, część jedzie nad morze, a najdoświadczeńsze puszczają się pod opieką starszych w dalszą podróż, w tym roku np. do Francyi i Szwajcaryi.

Nadzwyczaj oryginalny i malowniczy widok przedstawiali na ulicach Paryża wychowańcy „Vooruit,“ ubrani jednakowo w niebieskie berety z czerwonemi piórkami, ze sztandarem na czele i z pieśnią pokoju na ustach. Mnóstwo ludzi ściągnęli na swe przedstawienia zarówno w Paryżu w uniwersytecie ludowym i w gmachu Giełdy pracy, jak w Lille, Dijon i w Saint Claude, gdzie musieli powtarzać widowiska i zbierali po pięćset kilkadziesiąt franków, mimo że ceny nie przewyższały pół franka.

Chociaż te szkoły wędrowne mają jakoby wyłącznie na celu zapoznawanie dzieci z okolicami, ludźmi i życiem własnego kraju i obcej ziemi, oraz budzenie miłości pokoju i tępienie szowinizmu narodowego, nie mogą one służyć Francuzom za wzór do naśladowania, chociaż niektóre nawet radykalne pisma nie mają dla nich słów zachwytu. Z jednej strony takie pospieszne zwiedzanie, jak np. Paryża i Wersalu w ciągu dwóch dni, sprowadza tylko zmęczenie i znużenie, a nie przynosi dzieciom istotnej korzyści. Z drugiej strony podczas podróży są one przedewszystkiem zajęte w dzień urzędowemi reprezentacyami, a wieczorem formalnemi przedstawieniami teatralnemi, na których w kostiumach tańczą, deklamują, śpiewają, gimnastykują się, grają małe sztuczki, nawet jednoaktowe operetki komiczne.

Wprawdzie śpiewy i sztuczki są dobrane do wieku i zawierają nieraz myśl głębszą, ale w każdym razie wyłącznie niemal pochłaniają czas i zajmują myśl dziatwy, łaknącej przestrzeni, wolności i powietrza. Wyrabiają w niej śmiałość i umiejętność popisywania się publicznie, ale pod względem pedagogicznym i społecznym nie przyczyniają się bynajmniej do jej rozwoju i uświadomienia. Wszak do Paryża przyjechały dzieci „Vooruit“ nazajutrz po przedstawieniu, a już podczas śniadania w restauracyi, na rogu bulwarów, deklamowały i śpiewały, wieczorem zaś dały wielkie przedstawienie w uniwersytecie ludowym, składające się z dwunastu numerów; na drugi dzień pobytu popisywały się znów w parku wersalskim, a wieczorem odbyło się powtórne przedstawienie uroczyste, złożone z nowych numerów tańców, śpiewów, żywych obrazów i sztuczek dramatycznych.

Na patrzących rozważnie i zblizka dziecinna karawana gandawska robiła wrażenie wędrownej trupy teatralnej, spieszącej się bardzo, by w każdem mieście po drodze dać przedstawienia, a w przerwach śpiewem i deklamacyami pragnącej zwrócić na siebie powszechną uwagę. Każdy musi przyklasnąć szczerze myśli urządzania wycieczek po kraju i za granicę dla dorastającej dziatwy robotniczej, każdy powinien usiłować zaszczepić tę myśl i urzeczywistnić ją we własnym kraju, ale należy wyłączyć z ich programu wszelkie popisy, wszelkie dziecinne przedstawienia teatralne, choćby miały one pokryć koszty podróży.

O ileż przyjemniejsze i głębsze wrażenie robiła wspólna wycieczka przed kilku dniami w okolice Paryża do parku Ermenonville w celu uczczenia raz jeszcze Jean-Jacques Rousseau'a! Zorganizowała ją redakcya wolnomyślnego, coraz żywotniejszego tygodnika *La Raison*, i pomimo niedostatecznych ogłoszeń i względnie wysokiej dla robotników opłaty, potrafiła ściągnąć sporą garstkę zwolenników.

Śpiewając pieśni, wyjechano razem z Paryża, a na stacyi Plessis-Belleville połączono się z 250 uczestnikami okolicznego uniwersytetu ludowego i gromadnie końmi udano się do grobowca Rousseau'a, wzniesionego na pokrytej topolami wyspie, pośród ogromnego jeziora, w uroczym parku. W grobowcu tym spoczywały zwłoki nieśmiertelnego filozofa aż do czasu przeniesienia ich do Panteonu; dotąd widnieje na nim skromny a tak wymowny napis: „Tu spoczywa człowiek natury i prawdy.“ Po przemówieniu redaktora *La Raison*, Charbonnela, i po spożyciu wspólnego śniadania na otwartem powietrzu, przy dźwiękach muzyki wyruszono krętemi ścieżkami parku do niewykończonej świątyni filozofii, gdzie znów przemawiał gorąco Charbonnel i drugi mówca, były ksiądz Guinaudeau. Sławili obaj Rousseau'a, podnosili jego myśli i dążenia.

Dr. J. Zieliński.

Z Niemiec.

Berlin, 28 sierpnia.

Luisenstrasse jest ulicą patentów. Po jednej stronie mamy naprzód tak zwaną Giełdę wynalazców. Przychodzą tu poeci, obdarzający świat nieprzemakalnym szuwaksem, filologowie, wynajdujący maszyny do latania, kupcy, którzy zbudowali kolorowe lampy, uzdrawiające neurasteników, inżenierowie i chemicy, którzy ofiarowali ludzkości dziesiątki tysięcy genialnych i poronionych pomysłów, spekulanci skupujący wynalazki, i maklerzy, pośredniczący w ich zbyciu. Tuż naprzeciwko, dom za domem, biura patentowe. Tak zwani obrońcy patentowi układają tu podania, radzą, jaką część wynalazku i w jaki sposób opatentować tak, aby wszelkie naśladownictwo było niemożliwe, a przedewszystkiem oczywiście zachęcają do opatentowania, zapewniając, iż pomysł jest epokowy i ma niesłychane widoki powodzenia. A tuż w pobliżu stoi groźny Państwowy Urząd Patentowy, świadectwo tryumfów umysłu ludzkiego.

Urząd ten obchodzi obecnie 25-letni jubileusz swej działalności, i z tej okazyi chcielibyśmy poświęcić mu kilka słów. Instytucya patentowa dokonała w przeciągu ćwierćwiecza potężnego rozwoju. Przedewszystkiem wytworzyła ona osobną naukę, t. zw. prawa patentowego, mającego swe własne pisma i fachowców. Najgłośniejszy jego przedstawiciel, prof. Kohler, ogłosił obecnie już w drugiem wydaniu olbrzymi podręcznik, a właściwie system naukowy tego prawa. Sama treść prawa patentowego uległa również zmianie. W r. 1791 następuje jego kodyfikacya, a jednocześnie obok wynalazku wprowadzono nową kategoryę t. zw. wzoru użytkowego (*Gebrauchsmuster*). W 1894 r. państwo wzięło w obronę stemple, znaki i nazwy firm, towarów i wynalazków. W r. 1900 zaprowadzono, zamiast dotychczasowych pokątnych doradców patentowych, obrońców urzędowych, obowiązanych zdawać przepisany przez państwo egzamin prawny, technologiczny i ekonomiczny. Wreszcie obecnie projektuje się utworzenie odrębnych sądów, spoczywających w ręku laików i powołanych do rozpatrywania wszelkich procesów, wypływających z prawa patentowego i obrony praw przemysłowych.

Patent uniemożliwia przywłaszczenie sobie wynalazku przez osobę obcą i uprawnia wynalazcę do eksploatacyi w ciągu lat piętnastu. Dzięki temu nie jest on zmuszony otaczać swego pomysłu tajemniczością i oddaje go na użytek ludzkości. Niemcy zaprowadziły tak zwaną procedurę sprawdzania. Urząd państwowy przekonywa się przedewszystkiem, czy fakty, na które powołuje się autor, nie przeczą zdobyczom nauk przyrodniczych, a następnie — co ważniejsza — czy autor nie kopiuje któregokolwiek z cudzych pomysłów, ogłoszonych już w ciągu ostatniego stulecia drukiem lub obrazowo. Jest to zasługa epokowa niemieckiego prawa i urzędu patentowego, iż w ten sposób hamuje nieco rozpęd szarlataneryi w dziedzinie tworów geniusza ludzkiego. Faktem jest, iż każdy wynalazek, na który uzyskano patent niemiecki, znajduje na całym świecie zbyt i zastosowanie. A niełatwa to doprawdy robota wyłuskać ziarno oryginalności z łupiny pomysłu. W r. 1891 trzeba było przejrzeć w tym celu 61,000 patentów niemieckich i milion zagranicznych, nadto przestudyować 550 czasopism technicznych i 43,000 dzieł treści technologicznej. W r. 1900 należało już sprawdzić półtora miliona patentów zagranicznych, 700 czasopism technicznych i 70,000 dzieł naukowych. Do tego potrzeba oczywiście wykształconego i wyćwiczonego sztabu naukowego. Kiedy w r. 1877 urząd patentowy liczył 40 współpracowników, dziś personel jego składa się z 700 z górą specyalistów oraz 117 nadzwyczajnych doradców naukowych. Procedurę sprawdzenia przejęła od Niemiec Ameryka, kiedy Anglia i Francya żądają tylko zameldowania wynalazku, tak iż państwo nie nadaje tu żadnemu wynalazkowi sankcyi naukowej lub literackiej i wskutek tego nie reguluje działalności wynalazczej, nie nadaje jej kierunku i nie przeprowadza wyraźnej granicy między postępem rzeczywistym a pozornym. Procedura sprawdzenia wymaga osobnej techniki i gwoli jej rozklasyfikowano cały obszar pracy ludzkiej na 89 działów, te zaś na 445 poddziałów. Dla samego meldunku patentów stworzono 8 biur osobnych.

Usiłowano z liczby zameldowanych patentów wysnuć wnioski co do ożywienia rynku krajowego i wszechświatowego. Nie ulega wątpliwości, iż losy przemysłu współczesnego pozostają w ścisłym związku z nowymi sposobami opanowania sił przyrody i wyzyskiwania ich dla potrzeb ludzkich. Patent, zwłaszcza w formie stosownej w Niemczech, zaznacza każdy nowy postęp na polu technicznem i ekonomicznem. A jednak stosunek pomiędzy wynalazczością i napięciem umysłu ludzkiego a rozwojem przemysłu wydaje się dosyć paradoksalnym. Z jednej strony ilość przedstawionych do zatwierdzenia patentów wzrasta stale. W r. 1891 wynosiła ona 12,000, w 1900 — 22,000. Z drugiej strony jednak gorączka wynalazczości słabnie właśnie podczas większego natężenia życia ekonomicznego. Gdy puls przemysłowy bije żywiej, wtedy właśnie „kapitanowie przemysłu“ i ich dostawcy dla braku czasu mniej zaprzątają sobie głowy wynalazkami i projektami. Gdy tempo ekonomiczne wolnieje, a rynki wytwarzają apatyę i obojętność, przemysłowcy starają się podniecić je nowymi wynalazkami. Rozpoczyna się wtedy na nowo gorączkowa pogoń za nimi. W wyścigu tym zresztą nie wszystkie działy techniki i przemysłu biorą jednakowy udział. Umysł ludzki pracuje najszybciej na polu elektrotechniki, kolejarstwa, chemikalij, farbiarstwa, a jak obecnie — wyrobu bicyklów i samochodów. Elektrotechnicy przedstawiali w okresie 1881—90 przeciętnie 4,000 wynalazków rocznie; w ciągu następnego dziesięciolecia — 8,800. Wyrób bicyklów dostarczał w pierwszym okresie 1,700 wynalazków rocznie, obecnie, w połączeniu z samochodami — 10,000 rocznie.

Z cyfr powyższych łatwo dojrzeć, jakiego natężenia i rozpędu nabrała wynalazczość ludzka. A jednak wynalazcy burzą się, iż urząd patentowy krępuje zbytnio swą pedanteryą pochód zwycięzki geniuszu ludzkiego. Od lat wielu prowadzi się zawzięta kampania przeciwko prawodawstwu patentowemu i związanej z niem procedu

rze, jako przeciw hamulcom postępu. Utrudniając swą uciążliwą a pedantyczną procedurą eksploatacyę pomysłu, urząd ma zrażać wynalazców. Tymczasem dowiódł on, iż ostrożne sortowanie wynalazków jest koniecznością wobec zalewu niektórych dziedzin przez laików, dręczonych żądzą sławy i bogactwa. Niektóre tak zwane wynalazki przeczą elementarnym prawom nauki. Łupem Donkiszotów i nieuków stał się zwłaszcza wyrób elementów galwanicznych. Zaledwie 15% wynalazków z tej dziedziny wytrzymało próbę. Pomimo to, wskutek szturmu sfer przemysłowych, urząd był zmuszony od r. 1898 popuścić nieco cugli wynalazcom i złagodzić swe wymagania.

Czy zmiana ta wyszła istotnie na korzyść nauki, trudno orzec, w każdym razie nie przyniosła szczęścia wszystkim wynalazcom. Rozczarowania są tu, bądź co bądź, na porządku dziennym, a wybrańców, którzy zrobili krocie na swym pomyśle, niekiedy bagatelce, której nie nadawali żadnego znaczenia, spotyka się rzadziej, niż nieszczęśliwych, zawiedzionych w swych nadziejach. Świadczy o tem statystyka prolongat patentów. Opłata patentu rośnie z każdym rokiem; wskutek tego ci, którym wynalazek nie przynosi dochodów, zmuszeni są wcześniej czy później zrzec się przedłużenia patentu. Zaledwie 26% patentów jest jeszcze opłacanych w dziewiątym roku po wydaniu. Przeciętna żywotność patentu wynosi pięć lat.

Dla wynalazków pomniejszych, nieopartych na nowej procedurze technicznej, zaprowadzono t. zw. wzory użytkowe, o których mówiliśmy wyżej.

Wspominaliśmy również o t. zw. znakach na towarach. Wprowadzając jakiś nowy artykuł, fabrykanci chrzczą go własnem imieniem lub zaopatrują w osobną sygnaturę, a jedno i drugie staje się prywatną własnością wytwórcy. W ostatnich latach posunięto się aż do nadawania artykułowi jednocześnie kilkunastu nazw (t. zw. znaki obronne), ażeby uniemożliwić współzawodnictwo zaskarbienia sobie łaski publiczności za pomocą artykułu o nazwie brzmiącej w sposób podobny. Tak np. słynna woda do płukania ust i zębów, „Odol," ma więcej imion, niż przeciętna infantka hiszpańska — gdyż aż 25! — jako to: Odo, Ordol, Odentol, Usodol, Odolin, Odolul, Ozol, Ondol, Odorol itd. Takie znaki apokaliptyczne i rażące niekiedy kakofonią stają się również uprzywilejowaną i zmonopolizowaną własnością prywatną z chwilą, gdy zostały zatwierdzone przez urząd patentowy. Wobec tego, iż zakres własności prywatnej pod pewnym względem rozszerza się — zaznaczę tu np. wprowadzane obecnie w Niemczech prawo na własną fotografię — prawdopodobnie więc obrona prawa przemysłowego zrobi pod egidą urzędu patentowego dalsze postępy.

H.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Początek roku.

Ulice Warszawy zaludniły się znowu tłumem młodzieży mundurkowej, powracającej po wypoczynku wakacyjnym z nowemi siłami i zapałem do przerwanych zajęć szkolnych. Obok niej z nieśmiałością przesuwają się nowi kandydaci i kandydatki do godności ucznia lub uczennicy, a spora już obecnie liczba prywatnych zakładów naukowych pozwala przypuszczać, że w pewnym stopniu przynajmniej potrafią one zaradzić chronicznemu brakowi miejsc wolnych w gimnazyach i szkołach rządowych.

Sprawy wychowawcze, projekty zmian i ulepszeń pozostają w dalszym ciągu na porządku dziennym. Na innem miejscu przytaczamy treść wydanego świeżo rozporządzenia ministeryalnego, które świadczy znowu, że sferom decydującym leży poważnie na sercu sprawa podniesienia strony fizycznej wychowania i zmniejszenia ciężaru pseudo-naukowych drobiazgów i formułek, wciąż jeszcze przytłaczającego nadmiernie organizmy wątłe i rozwijające się dopiero mózgi dziecięce. Jedynym skutecznym zupełnie środkiem byłoby tu, według nas, zasadnicze zmodyfikowanie obowiązujących dzisiaj programatów szkolnych przez wykreślenie i usunięcie z nich raz na zawsze tego wszystkiego, co obarcza bezużytecznie pamięć dziecka, nie przyczyniając się wcale do podniesienia jego rozwoju. Sądzimy jednak, że i w obecnych warunkach możnaby i należało zrobić na tem polu niejedno.

Powoli znikać już zaczyna rozpowszechniony dawniej typ pedagoga, uważającego uczniów i uczennice za pewnego rodzaju maszynki do wykuwania i recytowania z pamięci różnych formułek i wyjątków, siebie zaś samego — za niezbyt skomplikowany przyrząd do zadawania lekcyj, wymierzania kar za lenistwo, brak uwagi lub „hardość," a przedewszystkiem — do stawiania stopni. Ale i dziś jeszcze przydałoby się naogół więcej duszy i serca w stosunku z młodzieżą, więcej zrozumienia jej właściwości i potrzeb, więcej wyrozumiałości dla jej braków. Nie stereotypowe formułki, reguły, cyfry i daty, wcześniej czy później ulatniające się z pamięci, ale rozwój zdolności myślenia i wydawania z czasem sądów samodzielnych, ale rozumne ukształtowanie młodego umysłu i skierowanie wzroku ku wyżynom ideału — oto właściwy cel wychowania, a droga prowadzi do niego przez światły umysł i wrażliwe serce pedagogów-myślicieli, z jakich właściwie składać by się powinien cały świat nauczycielski.

Na tem polu nigdy nie można za dużo zrobić i zbyt wiele wymagać — *od siebie*, o czem — na początku roku szkolnego — przypomnieć może nie zawadzi. *Wł. B.*

Trzechsetna rocznica.

Trzechsetna rocznica śmierci Klonowicza (29 sierpnia r. b.) przypomniała społeczeństwu naszemu pisarza niewielkiego talentu, ale dużej pracy i szczerze demokratycznych przekonań, sympatycznego choćby przez to, że w rozpoczynającej się dobie wszechwładztwa szlachetczyzny i jezuityzmu ośmielał się płynąć niejako przeciw prądowi, występując w swych utworach w obronie mieszczaństwa i ludu i karcąc ostro nadużycia potężnego zgromadzenia zakonnego, które na nim mścić się umiało.

Przed paru dziesiątkami lat imię Klonowicza było u nas bardzo popularne, głównie dzięki ładnemu poematowi Syrokomli p. t. „Zgon Acerna." Nowsza krytyka obniżyła znaczenie autora „Flisa," jako poety, wyznaczając mu skromniejsze o wiele stanowisko pracowitego układacza rozwlekłych wierszowanych traktatów alegoryczno-dydaktycznych („Victoria deorum," „Worek Judaszów" itd.), pozbawionych zupełnie, z wyjątkiem niektórych ustępów pisanej po łacinie „Roxolanii," jakichkolwiek pierwiastków poezyi. Nawet „Flis", stawiany ongi przez historyków literatury na miejscu poczesnem, jest naprawdę, według trafnego określenia S. Tarnowskiego, wierszowanym — i dodajmy: wierszowanym licho — poradnikiem dla flisaków, jak po Wiśle pływać mają...

Niemniej jednak sądziłbym, że możemy i dzisiaj nie obawiać się i nie wstydzić zanadto zachowania w skarbczyku wdzięczności małego choćby kącika dla prześladowanego przez ludzi i losy autora „Roxolanii" i „Żalów nadgrobnych na śmierć Jana Kochanowskiego." Skromny ten myśliciel, pozbawiony talentu, ale i pretensyonalności, poeta — umiał, bądź co bądź, przed trzema wiekami iść najeżoną niejednym cierniem drogą własnych przekonań, niezupełnie zgodnych z utartemi i — popłatnemi. *wb.*

Nowy konkurs.

Redakcya *Gazety Świątecznej* ogłasza nowy, dwunasty już z kolei, konkurs na nowelę, powiastkę lub opowiadanie, wyznaczając termin nadsyłania rękopisów na d. 31 grudnia r. b. Nagroda względnie wysoka (rb. 300) za utwór, nieprzenoszący 1000 wierszy, powinna zachęcić autorów do wzięcia udziału w konkursie.

Nie trzeba dodawać, że konkursy *Gazety Świątecznej*, jak wogóle cała jej działalność, mają doniosłość nader poważną. Nie należy więc tych spraw lekceważyć i pogardzać niemi. Dlatego też sądzimy, że literaci nasi powinni rzecz tę wziąć do serca i pamiętać, że ci, którzy nadeślą utwory na konkurs, spełnią czyn prawdziwie obywatelski. Czyżby zniżanie się do pojęć czytelnika wiejskiego miało być czemś naprawdę poniżającem?

Szkodaby było, gdyby natchnione myślą społeczną usiłowanie miało raz po raz spełzać na niczem, tak, jak się to stało z ostatnim konkursem tejże gazety, który, oprócz kilku utworów zaledwie poprawnych, nie wydał nic naprawdę wybitnego.

A przecież „zbłądzenie pod strzechy" było rozkosznem marzeniem najwyższych duchów poezyi. *g.*

Pożyteczna wystawa.

Wkrótce otwarta ma być w Warszawie wystawa zabawek i gier pedagogicznych. Kto kiedykolwiek miał sposobność i ochotę przyjrzeć się baczniej cackom, jakiemi obdarzamy nasze dzieci, kto widział niezdarne wyroby miejscowe, pozbawione smaku artystycznego, wartości pedagogicznej, nieodpowiadające podstawowym wymaganiom hygieny, kto choć raz rzucił okiem na zabawki, pozbawione wszelkich znamion swojskości, ten gorąco przyklaśnie projektowi takiej wystawy pedagogicznej.

A urządzenie jej nie jest rzeczą tak błahą, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało: wszak zabawki odgrywają nader ważną rolę w wychowaniu przedszkolnem, są najpierwszą strawą duchową, jaką podsuwamy pączkującym umysłom. Źle więc jest, jeżeli te pierwsze wrażenia nie odpowiadają pod jakimkolwiek względem rozumnie pojętemu celowi. A dodać trzeba, że projektodawcy i inicyatorowie wystawy, wstępując na pole, leżące u nas odłogiem, torują sobie drogę wśród dziewiczej puszczy bezmyślności i szablonu. Może na tej wystawie niejedna matka, zawsze pewna swego „instynktu macierzyńskiego," który, jej zdaniem, starczy za wszelką pedagogię, przekona się, że nieraz, zamiast pożywnej strawy, podsuwa swemu dziecku w najlepszej wierze — truciznę. *h.*

BADANIA NAUKOWE.

Czy potrzeba nam filozofii?

(Słówko o psychologii narodowej).

(Dokończenie).

Jako reakcya przeciw chwilowemu pozytywizmowi, objawia się niebezpieczny i właściwy niedość trzeźwemu i niedość wyszkolonemu umysłowi polskiemu pociąg do mistycyzmu, który strawił na schyłku życia najgenialniejsze nasze umysły, wbrew wszystkiemu, co zahypnotyzowani modernizmem poczynamy mówić o wspaniałym towianizmie Mickiewicza, genialności „Genezis“ Słowackiego i głębinach historyozofii Krasińskiego. Ongi dzieliliśmy mesyaniczne poglądy tego poety. Potem nieco za mocno biliśmy się w piersi, oczyma Bobrzyńskiego zerkając w stronę monarchy, którego jakoby nielitościwa Opatrzność odmówiła nam na nasze nieszczęście. Obecnie... obecnie jesteśmy skłonni do neo-mistycyzmu, jedynego kierunku filozoficznego, który jako tako pociągał nas, sprzęgając się z wymogami uczucia, wyobraźni i wiary. Na scenę tryumfalnie wkracza Lutosławski — i oto staje przed nami poważne pytanie, czy znajdzie on w nas dostateczną przeciwwagę o charakterze filozoficznym.

Skąd wziąć ją, gdy cała robota filozoficzna wielkich umysłów Zachodu niemal bez śladu przepadła dla nas, gdy albo zupełnie, albo w pełni rynsztunku nie pojawiła się u nas myśl Kanta, Fichtego, Schellinga, Comte'a, Milla, Mayera, Lotzego, Dühringa, Schopenhauera, Hartmana *) i tylu innych? A filozofii nam potrzeba nietylko dlatego, aby zwalczać jałowe i zgubne pomysły przeciwstawnością innych systematów, lecz i dlatego, aby wogóle dopełnić najgłębszym rysem duchowej mocy ludzkie oblicze narodu — rysem najwyższej świadomości, wpatrzonej w tajemnicę wszechświata. Brak metody filozoficznej występuje u nas na każdym kroku, w płytkiej historyozofii ogółu, z trudem zwalczanej przez głębszych znawców historyków, w reporterce naszej krytyki, dostającej palpitacyi serca bądź z zachwytu, bądź z przerażenia wobec płodów naszej myśli artystycznej. Z naszemi domorosłemi metodami krytycznemi, mającemi źródło w naiwnej teologii lub w sceptycyzmie zdawkowym, uznającemi kaprys upodobania za jedyny miernik sztuki, poprostu nie jesteśmy w stanie odróżnić marnych plew od pożywnych ziarn, które przyniosła nam nowa poezya, nie rozumiemy nowych form cierpienia i nowych form duchowej rozkoszy, nie rozeznajemy pomiędzy nowem głupstwem a nową dla nas prawdą.

Wprawdzie już uczuć się dają pewne drgnienia i porywy ku zdobyciu brakującej nam myśli filozoficznej. Szereg utalentowanych piór popularyzatorskich podaje nam w skróceniu w pismach wyniki teoretyczno-poznawczej pracy myślicieli zachodnich. Od czasu do czasu otrzymujemy przekłady dobrze wybranych dzieł filozoficznych, albo nawet wartościową pracę oryginalną. Ale wszystko to dopiero są skromne początki **).

Filozofia, jako wdrożenie myśli na tory badania najgłębszych zagadek istnienia, prawdziwa filozofia *ze wszystkimi kierunkami myślowymi, dopełniającymi i zbijającymi się nawzajem*, przydałaby się nam bardzo, rozwijając w nas usposobienie krytyczne. Do takiej nawołujemy...

Głos nasz nie jest samotny. Ale, niestety, te głosy, które ostatnio odezwały się w tej sprawie, opatrzone są dwoma zawarunkowaniami, które nam wydają się błędnemi. Przemówiono o potrzebie filozofii „jedynej“ i „narodowej.“ Jedyna — aby odegnała widmo „anarchii ducha“; narodowa — aby zadowoliła „swojskie“ potrzeby— i nie zabarwiła cię „obcością kosmopolityczną.“ Oba marzenia i oba strachy, zdaniem naszem, niesłuszne.

Z widmem grożącej nam wrzekomo „anarchii ducha“ naogół załatwił się już dzielnie w dziełku swojem p. Jabłonowski. Tu pragnęlibyśmy ten strach zabić na specyalnem polu, ze specyalnego punktu widzenia.

Wobec olbrzymiej tajemnicy przyrody, której nikt dotąd nie zdołał odgadnąć, i różnic indywidualnych pomiędzy umysłami ludzkimi, uważamy anarchię myśli za objaw żywotności badawczej myśli ludzkiej, rozszczepiającej się na mnogie kierunki. Współistnienie sprzecznych kierunków myślenia, zwalczających się i poprawiających wzajemnie, jest koniecznym warunkiem postępu umysłowego. Zresztą doprawdy owa anarchia, która ma być chorobliwem znamieniem chwili obecnej, istniała zawsze. Oto parę dowodów, pobieżnie zebranych: Demokryt — materyalista, Sokrates — idealista, Protagoras — sceptyk są współcześni. Szkoły cyników, epikurejczyków, sceptyków rozwijają się obok siebie. Plato i Arystoteles są współcześni i systematy ich oddziela niewielka różnica czasu, a mają one zwolenników w wiekach średnich jednocześnie (nominaliści i realiści). Bacon — empiryk i Kartezyusz — racyonalista żyją jednocześnie. Spinoza i Gassendi są rówieśnikami. Hegel i Schopenhauer uczą jednocześnie. Romantyzm i pozytywizm XIX wieku zmagają się ze sobą, istniejąc współcześnie. Meyer, Lotze, Hartman, Lange itd. piszą w tym samym czasie. Jak widzimy, ta dzisiejsza „anarchia ducha,“ na którą skarży się tak często prof. Struve, jest bodaj... wieczną!

Również wystąpić musimy jak najenergiczniej przeciw przystrajaniu filozofii w narodowy kostium polski. Pewne odrębności w cechach ducha narodowego w zestawieniu go z innemi uznajemy oczywiście. Nie widzieć ich byłoby ślepotą. Lecz tylko schodząc w dziedzinę życia praktycznego, obyczajowości i polityki, dając się porywać natchnieniom sztuki i poezyi, możemy uprawiać namiętnie wyodrębniające nas cechy fizyognomii duchowej *). Natomiast, im bardziej wznosimy się w dziedzinę myśli oderwanej, tem usilniej powinniśmy zarzekać się cech odrębnych, specyficznych, jeżeli szczerze chcemy dążyć do prawdy. Przedmiotowa prawda filozoficzna, „wolna od naleciałości osobniczych,“ winna nią być nie dla X. lub Y., czy tym Iksem lub Ygrekiem będzie dane indywiduum, czy cały naród, lecz dla człowieka — jako pewnej organizacyi poznawczej, jednolitej w swojej logice. Ogólna formuła, o której marzył Leibniz dla ducha, przewidującego wszystkie wiekuiste zmiany w przyrodzie, może być tylko logiczno-matematyczną, a nie angielską, francuską lub polską. Podobnie ogólna idea *homo sapiens*, pozbawiona jest cech indywidualnych lub plemiennych. Umysł człowieka, jako narzędzie poznawcze, kierować się musi tylko ogólnemi swojemi prawami — zdolnością asocyowania, abstrahowania, tworzenia dedukcyj itd., a wyzwalać się z zabarwień temperamentu narodowego. Filozoficzna prawda, jako najwyższe uogólnienie, musi uprościć się w najwyższym stopniu i zatracić odrębne cechy narodowe. Właśnie powinniśmy w dążeniu do prawdy filozoficznej strzedz się jednostronnej uprawy rodzimego naszego mistycyzmu (zresztą zaczerpniętego w części od Böhmego, Lamenais'go i innych obcokrajowców), ale przeciwnie musimy — stosownie do indywidualności tego lub owego z naszych myślicieli— iść krokiem szybkim po tych drogach, które utorowały z olbrzymim trudem starsze od nas i owocniej pracujące w filozofii narody. Przytem umysły nasze upodabniać się muszą nie do angielskich, niemieckich, francuskich itp., lecz do rozwiniętego umysłu ludzkiego wogóle.

Etykiety narodowe, mające w podręcznikach historyi filozofii na celu pedagogiczne usystematyzowanie wiedzy w czasie i przestrzeni dla ułatwienia nauki, nie dowodzą bynajmniej, aby kierunki myśli określały się najlepiej cechami narodowemi. W pojęciu filozofii greckiej zawiera się moc rozbieżnych kierunków, a wszystkie one, czy to będzie atomizm Demokryta, czy racyonalizm Anaxagorasa, czy mechanizm Pytagoryjczyków, czy idealizm Platona, czy empiryzm Arystotelesa, czy sceptycyzm sofistów — wessane zostały przez myśl nowożytną. O buddaizm Indusów zaczepia myśl swoją Niemiec Schopenhauer. Encyklopedyści francuscy mają świetnych następców śród materyalistów niemieckich. De la Mettrie i Holbach, Renan i Feuerbach, Lavoisier i Meyer zdradzają znaczne pokrewieństwo umysłowe pomimo różnic narodowości. Idee Locka, Kanta, Lamarcka, Darwina, Comte'a, Spencera promieniowały na świat cały, znajdując dokładne odbicie w innych środowiskach narodowych. Eklektyk Cousin... okradał filozofów niemieckich. W dziedzinie myśli Anglik, Francuz, Niemiec bratają się z sobą, znajdując równocześnie śród swoich nieubłaganych przeciwników. Pragnijmy szczerze takiej samej twórczej *rozbieżności* po wessaniu wszystkich *obcych* kierunków myśli, zamiast proponowanego przez niektórych przy stole filozoficznym swojskiego... „kochajmy się!“

Leo Belmont.

*) Hartmana „Ausrotten“ zmniejszyło wartość człowieka, ale nie wartość przedziwnie pięknego jego dzieła. (Za wiele! *Red.*).

**) Rozumiemy dobrze, że ubóstwo nasze nie pozwala na przekłady wielkich dzieł filozoficznych, gdyż nakład ich poprostu nie opłaca się. Ale właśnie chodzi nam o usunięcie tego objawu, o wzmocnienie popytu, a przez to o wzrost podaży dzieł filozoficznych. Przedewszystkiem radzibyśmy widzieć po polsku przekład „Historyi filozofii“ (tom II) Höffdinga, „Zagadnienia życia i ducha“ Luysa, „Wstęp do filozofii“ Wundta.

*) Zresztą i tu pod grozą zacieśnienia się w zaściank u swojskim nie możemy unikać przejmowania się prądami obcymi. Przejmowaliśmy się nimi w romantyzmie, pozytywizmie, materyalizmie ekonomicznym, jak dzisiaj w modernizmie — w myśl słusznej zasady: „nic ludzkiego nie jest mi obcem.“

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Jerzy Żuławski: *Poezye I.* Kraków 1901. — Lucyan Rydel: *Poezye.* Kraków, Warszawa 1901. — Józef St. Wierzbicki: *Rapsody.* Lwów 1901.

Wymieniony w nagłówku tom poezyj J. Żuławskiego jest wyborem utworów, zawartych w dwu dawniejszych zbiorkach tego poety: „Na strunach duszy“ i „Intermezzo.“ W swoim czasie, zpowodu ukazania się drugiej servi jego utworów, usiłowaliśmy dać na tem miejscu ogólną charakterystykę talentu

autora. Dziś więc poprzestanę na zakończeniu, że w tomie obecnym, obok wielu rzeczy obojętnych, znajdzie się niemało i takich, które dadzą się odczytać potwornie z przyjemnością. Dokonane skrócenia, usunięcie mniej zręcznych zwrotów — wpłynęło nieraz dodatnio na formę tego lub owego wiersza. I niewątpliwie są tam rzeczy bardzo piękne.

I nowy tomik Lucyana Rydla nie przynosi utworów całkiem nowych, gdyż w części pierwszej i, dodajmy, ze stanowiska czytelnika cenniejszej, mamy przedruk zbiorku, który się ukazał przed kilku laty, jako serya pierwsza. Nowością w tej książce jest tylko cykl utworów, w których pod wspólnym napisem „mojej żonie“ rozwijają się niezbyt urozmaicone i niezbyt złożone perypetye stosunku narzeczeńskiego między inteligentem a dziewczyną wiejską, co wyrosła, jako brzózka srebrna lub „jako polny mak, co czerwoną sukienką pośród łanu się pali.“ Całość składa się na poemat, któremu za tło służy letni krajobraz wsi polskiej, a którego osnowę przetykają tu i owdzie proste nici codziennych robót w polu i w chacie. Koloryt jest cokolwiek sztucznie naiwny, jednak doznajemy często wrażenia dodatniego, gdy dolata nas jakby odgłos pieśni ludowej. „Od Krakowa czarny las, Nad tym lasem tęczy pas, Ona tam daleko, Gdzieś za siódmą rzeką, Lecz Bóg tęczą związał nas.“ Co prawda wkradnie się nieraz konwencyonalny ton romantyczny, niezawsze zgodny z prostą i realistyczną osnową. „Nadchodzi.... Łany się przed nią kłonią, Kłos każdy się uniża I pokłon przed nią bije....“ Albo: „Na ramię moje głowę skłoń, Na ustach moich usta złóż... Cierpiałem dość, przeżyłem dość, I ludzkich krzywd i własnych win, I oto marnotrawny syn, wyniosłem z życia ból i czczość....“ Bajronista! I szczerze mówiąc, literatura niewieleby straciła, gdyby p. Rydel nie „Swojej żonie“ nie ofiarował.

Wszyscy wiemy, jak piękne wiersze umie ten autor pisywać... Lecz rzecz dziwna — okoliczność ta wcale nie podnosi jego znaczenia, jako poety. Można powiedzieć, iż stało się raczej przeciwnie, od czasu przynajmniej ukazania się pierwszego tomiku. Za połowę tych wytwornych liryk i obrazków, które spotykamy u niego, każdego innego poczynającego poetę obdarzyliśmy sympatyą i zachowaliśmy o nim miłe wspomnienie. Lecz p. Rydel nie od dziś zwrócił na siebie uwagę wykwitną formą swych utworów i wzbudził takie oczekiwanie, iż teraz mimowoli do jego twórczości przykładamy wyższą, niż względem innych, miarę, a doznawszy zawodu, uczuwamy jakby żal do poety. „I tylko tyle?“— pytamy. Ten i ów utwór z osobna może wywołać wykrzykniki: jakie ładne! Obejrzawszy się jednak wstecz, spostrzegamy, że doznawaliśmy wprawdzie miłych wrażeń, ale wzruszeń nie było. Pozostało tylko ogólne wspomnienie wielkiej wirtuozyi... W gruncie zresztą pretensye nasze są niesłuszne, gdyż każdy daje to tylko, co może, i tylko ten istotny dar oceniać należy.

A gdy mowa o wirtuozyi, o piękności formy, nie mamy na myśli wyłącznie techniki wierszowania, w której p. Rydel może się nie obawiać współzawodnictwa; nie mamy też na myśli ani dykcyi, ani linij kompozycyjnych. Moglibyśmy chyba uczynić tu i owdzie zarzut pod względem spoistości obrazów, ciągłości pewnego nastroju uczuciowego. Gdy np. autor ukazuje nam wciąż dalekie perspektywy i rozległe przestwory: niebo wisi niezmierne, bezdenne... Chmur lotny puch szybuje. Tatry czernią się w dali... Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze, a wokoło mgła, z miesięcznej poświaty utkana.... Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze... Dolina leży cicha, snem zaczarowana.... — trudno nam teraz uwierzyć, iż się znajdujemy „w uśpionym lesie,“ gdzie majaczeją mdłe półblaski i półcienie, gdzie „paproć kryje świerkowych korzeni kolana,“ a „w górze, ciemnych gałęzi sieć wisi splątana....“ Przeciwnie, w górze: „niebo wisi niezmierne, bezdenne...“

Lecz, powtarzamy, najważniejszym czynnikiem składowym piękności formy u Rydla nie jest, mimo pozorów, cyzelowanie, lecz raczej ta właściwość, że wyobraźnia jego jest skarbcem przechowującym całe szeregi bardzo wyrazistych kształtów i plam barwnych, przeróżne skojarzenia linij i cieni w ruchu lub spoczynku i wobec rozmaitego natężenia światła. „Na kształt gwiazd *krwawych* w tęczowej *oprawie*, Latarnie płoną w *obręczy świetlanej*, *Drgającej we mgle*, jakby oka pawie.“ „Kiedy wiatry z tej strony powieją, To na wierzbach drżą *listki zielone;* Kiedy wiatry powieją w tę stronę, To na wierzbach listeczki *siwieją*.“ Patrzmy w stronę zachodu. „Lasem płomiennych mieczów sterczą wodne trawy, A cień od nich na brzegu jest, jak *błękit stali*..“ Nic tedy dziwnego, że obrazy Rydla bywają nadzwyczaj żywe; nic dziwnego, że jego „nastroje“ bywają istotnie nastrojami, bezpośrednio wnikającemi w duszę. „Szuwary wiotką podnoszą kiść I w cichym szeleszczą pogwarze, A wodnych lilij szeroki liść, Rozkłada się w płaskie wachlarze, Jak gdyby ktoś miał ku nam tu iść Po sennym jeziora bezmiarze. Kto? nie wiem... Czujesz wilgotny chłód? Ptak nocny łopoce się w lesie, Czernieje nagle zwierciadło wód, I liść nenufarów tych gnie się... Po liściach śliski czy słyszysz chód? — Strach nocny nad wodą się niesie!...“ Wiemy, dlaczego dykcya poety jest barwną: bo nie jest tylko szeregiem wyrazów, wciskanych we wzór rytmiczny, lecz materyałów dostarcza jej zasobna wyobraźnia autora; dykcya ta jest zarazem giętką i melodyjną. „Lubieżnym ruchem fala się gnie I w dali rozlewa się niemej...“ Podobnie wygina się wiersz jego. „W błękitną, cichą noc miesięczną Ktoś na skrzypcach gra, Melodya płynie falą dźwięczną, W powietrzu jasnem drga. I brzozy stoją zasłuchane W harmonię słodkich brzmień.. Księżyc na białą dworcu ścianę Rzuca gałązek cień.“ Dodajmy do tego jeszcze leciuchną mgłę melancholii, owiewającą raz po raz słowa poety, a może ocenimy właściwie te pierwiastki, które kazały nam pilnie wsłuchiwać się w nutę jego pieśni, lecz w dalszym ciągu wywołały uczucie zawodu i żalu. Bo to wszystko — to materyał dopiero, lecz jakaż z tych cegieł świątynia stanie? Jak wyglądać będzie istota tej nowej organizacyi poetyckiej? Co poeta *tworzy?* I oto wydaje się nam, iż po za chwilowymi odruchami nie ma nam nic do powiedzenia, iż nie ukaże nam żadnej głębi; nie zna silniejszego podmuchu namiętności, nie zna ukochania, któreby go pochłaniało i popychało nieodwołalnie do tworzenia... iż nie jest środkiem, skupiającym w sobie jakieś siły i promieniejącym niemi wokoło..... Lecz pogodziwszy się z tem, zapamiętamy w każdym razie kilkanaście ładnych bardzo wierszy, jak: „O zmroku,“ „Przystań“ i inne.

„Rapsody“ J. Wierzbickiego — niewielki to tomik w porównaniu z poprzednim „O brzasku.“ Kto jednak zabrał znajomość z poezyą autora, przyjdzie chyba do wniosku, że i w nowej książeczce oblicze duchowe poety uwydatnia się niemniej wyraziście, i pod tym względem „Rapsody“ nie przynoszą wcale niespodzianki. Mamy zawsze przed sobą romantyka stojącego daleko od bezpośredniej rzeczywistości i współczesności. Oddalony od trosk dnia, otoczył się marami minionych czasów i siłą halucynacyi powołuje je do życia. Widzi siebie w starożytnym zamku w sklepionej komnacie. „Spoczywam na łożu, Sen zwolna mnie mroczy, Miesięczny blask barwny mi spływa na oczy. I dziwnie się mienią w miesięcznej poświacie, Jak żywe, zakute w ram złoto postacie, I dusza ma, senną nakryta powieką, Ulata na skrzydłach snu w przeszłość daleką.“ I po dawnemu ten romantyk odczuwa wyłącznie, jak się zdaje, mgławą krasę rzeczy umarłych, wdycha w siebie subtelną woń melancholii, unoszącej się nad grobami. „I tak drżą buki żałośnie, Drżą nad starą mogiłą, Szumią skargę po wiośnie, Płaczą *po tem, co było*.“

W „Rapsodach“ skarga ta wiąże się z odrębną treścią, gdyż główną ich osnową są śmiertelne zapasy Słowian pomorskich i połabskich z najeźdźcami, Niemcami przeważnie. Już przez to samo, iż w tym wypadku melancholia rzeczy minionych kojarzy się nie z jakimś ołtarzem, rozsypującym się w gruzy na pustyni, gdzie ktoś kiedyś ukochał jakiegoś boga, jak to było w poprzednim tomie, lecz z określonym w przestrzeni i czasie bytem, wizya przeszłości staje się niejako bardziej ucieleśnioną, smutek rzeczywistszym, cierpienia realniejszemi. Poezya Wierzbickiego budzi w nas obecnie nie filozoficzny żal przy rozmyślaniu o konieczności przemijania rzeczy ludzkich, choćby komuś najdroższych, w przeszłości, lecz istotne współczucie dla bólu tych, co umierają, a przecież mieli do życia prawo. To uczucie potęguje się tem bardziej, iż wśród okoliczności chwili, wobec rozpasania drapieżnych instynktów wszechniemieckości, „Rapsody“ Wierzbickiego, niezależnie od jego zamierzeń, nabierają znamion aktualności. Nie ona jest przecież w tym razie najcenniejszą, lecz to uczucie, które w swe utwory wkłada poeta. „A w grobu czeluści rząd łzawnic widnieje, Lecz wyschło odwieczne już źródło z tych łez; Popiołem — serc wielkich zagasły nadzieje I cichy był życia głośnego ich kres. Nad grobem tych wielkich, co przeszli przez dzieje, Wiatr tylko zawodzi, jak wierny stróż pies.“ „I taka tęsknota mi duszę przesyca, Gdy słucham odwiecznych tych pieśni bez słów...“

Łatwo się domyśleć, że sięgając w tę przeszłość, kiedy żelazny pług teutoński przeorywał żywą rolę plemienia słowiańskiego, poeta nie może rozwinąć idylicznych obrazków; jęk głośnej skargi raz po raz uderzy nam w uszy, ukażą się nam straszne widma, krwawemi plamami okryte. „I jęły się zwolna przesuwać przede mną Obrazy tak pełne przerażeń i mąk; Cierniowy splot dziejów w dal zwijał się ciemną, Uwitych przez tyle serc krwawych i rąk. Że widząc tę mękę narodów daremną, Mój duch się, jak Chrystus, w ogrójcu tym zląkł.“

J. Wierzbicki w „Rapsodach“ wstąpił w ślady Romanowskiego, którego przypomni nam nieraz energicznemi swemi zwrotkami. Jednak mimo tego spotkania się na jednem polu i we wspólnem uczuciu, jakież znaczne zachodzą tu różnice! Do ponurych dźwięków rogu Geronowego nie przypada do wtóru łzawa skarga poety naszego. Tam „Lach Słowianin, co tak bardzo spał, Jak głodny niedźwiedź z pazurami wstał.“ Tu — zgnębionym na pociechę pozostaje ta jedynie ułuda, że ich bohaterowie nie umarli, nie opuścili ich naprawdę, lecz uśpieni w jakiemś tajemniczem schronisku, oczekują hasła... Tymczasem — „niech do Boga w górę strzeli, Jak z miliona bladych warg, By tam w niebie usłyszeli Płacz słowiański, pełen skarg.“

A. Drogoszewski.

POEZYE

Siostro...

O siostro! Siostro!... Gdy cichą godziną
Sny z mojej duszy chmurą widm wypłyną,
Turkusy skrzydeł pod księżyc rospostrą,
Lecąc ku miłym polom... Siostro! Siostro!

Lecą nad stary ogród i trzepocą
Pióra pieszczone aksamitną nocą,
Nocą, co znała je młodzieńczą zgrają...
I nie chcą wracać, śmieją się i łkają.

Nie chcą powracać do ciemnicy swojej,
Gdzie im na straży mara Jutra stoi
Z źrenicą dziwnie stanowczą i ostrą,
Z zaciśniętemi usty... Siostro! Siostro!

Ślepym cię stworzę.

Ślepym cię stworzę — a dam tobie żądzę,
Która twą duszę będzie zawsze wlec
W otwarte szczytów słonecznych wrzeciądze,
Na jasnych duchów nieśmiertelny Wiec.

Głuchym cię stworzę, a do twoich wnętrzy
Głos rzucę, pełny harmonijnych ech,
Pieśń, co niebiosa w piersi twojej spiętrzy
I z gardła wyrwie płacz i jęk i śmiech.

A tylko dam ci nędzną ludzką mowę,
Byś mógł — z bagniska pół-zwierzęcych żyć
Ku złotym gwiazdom obróciwszy głowę —
O snach swych złotych nędzne pieśni wyć.

Cmentarz.

Nad urwiskiem noc czarna dyszy fali odgłosem
W miarowy plusk.
Płoną gwiazdy ze złotym i różanym włosem—
Grają w wodnej przepaści siecią złotych łusk.

Szumią czarne topole — wiatr potężny rwie [płuca
W hymn wiosennych sił.
Fala bije o brzegi— fala brzegom odrzuca:
Żył — kochał — śnił.

Mamert Wikszemski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Hodowla inwentarza w Królestwie Polskiem.

Spisy inwentarza żywego, ze względu na usługi, jakie oddaje on mieszkańcom kraju (nabiał, mięso, praca, nawóz itp.) są pod względem ekonomicznym niemal równie niezbędne, jak spisy ludności. U nas dokonywane bywają corocznie spisy bydła rogatego ze względu na obowiązkowe od r. 1870 ubezpieczenie od zarazy, oraz doroczne spisy koni przez władze wojskowe. Oprócz tego ogólne spisy inwentarza odbyły się w latach 1889, 1892, 1893 i ostatni w r. 1899. Wyniki tego właśnie ostatniego obrachunku stanowią treść XVIII tomu prac warszawskiego komitetu statystycznego i dają całkowity obraz rozwoju hodowli inwentarza w Królestwie Polskiem od r. 1870. Porównanie dwóch lat, 1870 i 1899 pozwala sądzić o tem, czy ta ważna gałąź gospodarstwa rolnego uczyniła postęp, czy też uległa osłabieniu w przeciągu ostatnich lat 29. Aby dojść do pozytywnych wniosków w tej sprawie, niedość jest poprzestać na bezwględnej liczebności inwentarza, należy prócz tego wziąć pod uwagę ilość jego w stusunku do ludności, oraz w stosunku do przestrzeni pól uprawnych. Wtedy dopiero sądzić możemy o zasobności mieszkańców w pożywienie zwierzęce (nabiał i mięso), oraz o kulturze gospodarstw rolnych. Bezwzględnie biorąc, ilość inwentarza żywego w r. 1899 wykazuje w porównaniu z r. 1870 wzrost, liczba jego doszła do 8,284,335 sztuk. Następująca tablica wykazuje przyrost ten podług rozmaitych kategoryj inwentarza:

	było w latach 1870	1889	przyrost lub
	s z t u k:		spadek:
koni	753,421	1,366,925	+81,4%
bydła rogatego	2,231,521	2,956,526	+32,5 „
owiec	4,180,122	2,767,133	—33,8 „
świń	1,104,415	1,192,752	+ 8,0 „

Z tablicy tej widzimy bezwzględny przyrost ilości koni (+81,4%), bydła rogatego (+32,5%) i świń (+8%), oraz bezwzględne zmniejszenie się ilości owiec (—33,8%). Porównywając przyrost inwentarza z przyrostem ludności, możemy dopiero sądzić o rzeczywistym postępie hodowli. Ogólnie znany jest fakt, że przyrost inwentarza nie podąża w równej mierze za przyrostem ludności. Ten ostatni za okres 29 lat wynosi dla całego Królestwa 68%. Widzimy zatem, że tylko przyrost ilości koni przewyższa tę normę i że liczebność bydła rogatego i nierogacizny wzrastała w daleko słabszym stopniu. Fakt ten świadczy, że ludność kraju naszego uboższa jest w porównaniu z r. 1870 w nabiał i pokarm mięsny. I rzeczywiście na 100 głów ludności przypadało: w 1870 r.: 12,4 koni, 36,7 bydła, 68,7 owiec, 18,1 świń; w 1899 r.: 14,7 koni, 31,9 bydła, 29,9 owiec i 12,9 świń.

Przeprowadzając drobny inwentarz na duży, podług normy, przyjętej przez N. Obruczewa, otrzymamy na 100 mieszkańców w 1870 r. 58,5, a w 1899 r. 50,9 sztuk inwentarza wogóle, a więc stosunkowe zmniejszenie o 13% w ciągu lat 29. Od powyższej normy przeciętnej dla całego kraju odstępują tylko dwie gubernie: Suwalska i Siedlecka, w których ilość inwentarza w stosunku do ludności wzrosła w słabym zresztą stopniu. Najsilniejsze zmniejszenie stosunkowe dają dwie najludniejsze gubernie: Piotrkowska i Warszawska.

Jak już mogliśmy zauważyć, tylko przyrost koni przewyższa przyrost ludności. Lecz konie mają znaczenie tylko jako siła robocza. Natomiast bydło rogate odgrywa wielką rolę w odżywianiu się ludności ze względu na mięso i nabiał. Tu jednak uderza ogólne zmniejszenie się tej kategoryi inwentarza w stosunku do ludności, gdyż w r. 1870 przypadało na 100 mieszkańców 36,7 sztuk bydła, a w r. 1899 — 31,9 przeciętnie dla całego kraju. Jedyną gubernią, w której ta stosunkowa liczba wzrosła, jest Suwalska (23,2 i 27,7). We wszystkich pozostałych guberniach cyfra ta spadła, ale w niejednakowym stopniu, najsilniej w gub. Warszawskiej, Płockiej i Piotrkowskiej. Co się zaś tyczy specyalnie nabiałowego inwentarza, to widzimy tu wzrost o 65%, co stanowi przeciętnie 2,2% na rok, a więc prawie taki sam, jak przyrost ludności (64% przez 29 lat). Najpowolniejszy wzrost ilości krów spotykamy znów w gub. Piotrkowskiej i Warszawskiej, dla których odnośne cyfry stanowią: 4,2 i 3,0% dla wzrostu ludności i 2,7 i 2,1% dla wzrostu liczby krów. Przeciwnie zaś największy przyrost ilości krów widzimy w guberniach czysto rolniczych, z przeważającą własnością włościańską, a mianowicie w Suwalskiej i Radomskiej, następnie w Kaliskiej, gdzie ludność jest zamożna, dzięki zarobkom za granicą, oraz w Lubelskiej, wskutek urodzajności gruntów.

W pozostałych guberniach szybkość przyrostu krów podąża mniej więcej za wzrostem zaludnienia.

Zobaczmy teraz, jakie zmiany zaszły w okresie 29 lat w stosunku ilości inwentarza wogóle do przestrzeni uprawnej. Jest to sprawa bardzo ważna dla dobrobytu ekonomicznego kraju, ponieważ pomyślny stan gospodarstw rolnych, zwłaszcza drobnych, zależy w znacznym stopniu od rozwoju hodowli inwentarza, który decyduje o dobrej uprawie i melioracyi gruntów. Otóż na 100 dziesięcin ziemi uprawnej przypadało w 1870 r 13,0 koni, 38,6 sztuk bydła, 72,4 owiec, 14,1 świń; w 1899 r. 22,0 koni, 47,5 sztuk bydła, 44,5 owiec, 19,2 świń. Wogóle zaś na 100 dziesięcin ziemi uprawnej przypadało w 1870 r. 60,8 sztuk inwentarza i w 1899 r. 75,9 sztuk. Jest to, bądź co bądź, powiększenie znaczne stosunkowej ilości bydła i koni, świadczące o postępie kultury rolnej. Poszczególne gubernie wykazują dużą różnicę pod tym względem. Stosunkowe to powiększenie daje się spostrzegać najsilniej w gub. Łomżyńskiej (+40%), w Piotrkowskiej i Suwalskiej. Rozwój środków uprawy i melioracyi gruntów uwydatni się w stopniu silniejszym, jeśli przy obliczaniu uwzględniać będziemy tylko konie i bydło, te dwie najważniejsze w gospodarstwie rolnem kategorye inwentarza. Otóż w całym kraju ilość koni i bydła, przypadająca na 100 dziesięcin ziemi uprawnej, wynosiła w 1870 r. 51,6 sztuk, a w 1899 r. 69,5; jest to zatem przyrost większy niż o $^1/_3$.

Na rozwój hodowli inwentarza rolnego w Królestwie Polskiem miała wpływ doniosły reforma z r. 1864. Przed reformą tą uprawa pól dokonywana była przeważnie przy pomocy siły pociągowej wołów. Po zniesieniu pańszczyzny korzystniejszem było zarówno dla obywateli, jak i dla włościan, zastąpić przy robotach polnych woły przez konie. Dla większych właścicieli ziemskich było to korzystnem ze względu na szybszą pracę koni, co pozwoliło zmniejszyć ilość niezbędnego inwentarza roboczego, włościanie zaś, nabywając konie, mogli oddawać się przemysłowi przewozowemu, czemu sprzyjał rozwój ekonomiczny kraju, budowa kolei i wzrost miast. To nam tłomaczy nierównomierny przyrost ilości bydła i koni od roku 1870 w poszczególnych guberniach. Ilość wołów zmniejszyła się najsilniej w guberniach o rozwiniętym przemyśle, a więc wymagających natężonej działalności przewozowej, jak w gub. Piotrkowskiej, Warszawskiej, Kaliskiej i Radomskiej. (Zmniejszenie w tych guberniach wynosi od 88—86%, gdy tymczasem w gub. Siedleckiej i Suwalskiej, najmniej rozwiniętych przemysłowo, zmniejszenie to dosięga zaledwie 45 do 50%).

Dla dokładniejszej i szybszej uprawy roli konie nadają się najbardziej, jako siła pociągowa. W tym też kierunku poszła hodowla inwentarza roboczego. Kiedy w r. 1870 ogólna ilość wołów dochodziła do 758,800 sztuk, w r. 1899 wynosiła zaledwie 188,500 sztuk. (Jest to zmniejszenie więcej niż o $^1/_4$). Liczba koni natomiast z 753,421 w r. 1870 wzrosła do 1,366,925 sztuk w r. 1899, co stanowi przyrost 81% przez lat 29, a 2,8% na rok.

Znacznie słabszy rozwój widzimy w hodowli nierogacizny. W roku 1870 liczba świń wynosiła 1,104,800 sztuk, a w 1899 — 1,192,800, a zatem przyrost za okres lat 29 wynosił zaledwie 8%. Hodowla nierogacizny stanowi właściwość gospodarstw drobnych. To też wszelkie pogorszenie w dobrobycie gospodarstw włościańskich oraz w odżywianiu się ludności wiejskiej odbija się niekorzystnie na hodowli inwentarza drobnego. Dlatego największy przyrost nierogacizny widzimy w tych guberniach,

gdzie włościanie odznaczają się zamożnością, a więc w gub. Siedleckiej (+50%), Lubelskiej (+32%), Suwalskiej (+30%) i Warszawskiej (+25%) najmniejszy zaś w Radomskiej (+6%). W pozostałych guberniach daje się spostrzegać znaczny ubytek, wahający się od 10—22%.

Ważnym wreszcie faktem w rozwoju hodowli inwentarza jest objaw ogólnego zmniejszenia się ilości owiec. Kiedy w r. 1870 było w całym kraju 4,180,122 owiec, w r. 1899 widzimy ich już tylko 2,767,133. Jest to zmniejszenie o 33,8% dla całego kraju. Objaw ten da się objaśnić tem, że hodowla owiec stanowi wyłączną prawie właściwość gospodarstw większych. Ponieważ u nas hodowane są owce dla wełny, przeto z chwilą, gdy Australia i Ameryka stały się głównemi dostarczycielkami tego produktu na rynki europejskie, hodowla owiec u nas zaczęła się chylić do upadku. Najświetniejszym okresem dla hodowli owiec były u nas lata od 1889—93. Upadek tej gałęzi przemysłu rolnego datuje się od lat mniej więcej dziesięciu i z każdym rokiem posuwa się coraz dalej.

Jeśli zechcemy teraz wyprowadzić najogólniejsze wnioski w sprawie hodowli inwentarza w Królestwie Polskiem, to musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę, że rozwój ten niezupełnie odpowiada potrzebom wzrastającej ludności. Jedynie wzrost liczby koni wygląda bardzo korzystnie; równoważy on w znacznym stopniu upadek hodowli wołów i świadczy o postępie gospodarstw rolnych. Hodowla inwentarza była dotychczas u nas bezplanową, zależną od rozmaitych okoliczności przemijających (od urodzajów) i nieprowadzoną racyonalnie. Dopiero postawiona na właściwych podstawach, jako planowa, prowadzona na wielką skalę i obliczona na wywóz za granicę, może stać się poważnem źródłem dochodów dla ludności rolniczej.

K. Kasperski.

Stan ruchu współdzielczego w Anglii.

Anglia, jak wiadomo, przoduje wszystkim krajom na polu kooperacyjnem. W roku ubiegłym dokonana została pierwsza próba statystyki międzynarodowej ruchu współdzielczego; autorem jej jest powaga na tem polu, Szwajcar dr. Müller, który ogłosił wyniki swej pracy w *Jahrbuch des Verbandes schweiz. Consumverein für 1901*. Oto jej główne cyfry:

Kraj:	Ilość stowarz. spożywczych	Ilość członków stowarz.	Obrót roczny w milionach franków	Jedno stowarz. przypada na mieszk.
Szwajcarya	347	124536	59,2	9819
Niemcy . .	1527	522116	158,7	36899
W. Brytania	1670	1709371	1251,3	24496
Holandya .	71	15020	6,2	71878
Dania . .	970	130331	27,8	2325
Austrya . .	758	195331	60,5	33548
Francya . .	864	325865	?	42528
Włochy . .	508	115027	?	62306
Finlandya .	237	12669	0,7	10000

Dane w tej tablicy pochodzą z r. 1900; jedynie dla Danii i Włoch z 1898 roku. Co do Włoch i Francyi są niedość dokładne, bo niezupełne. Z Rosyi, Belgii i Hiszpanii zebrano ich za mało, wskutek czego autorowie statystyki musieli pominąć te kraje, co zwłaszcza ze względu na Belgię jest wielką szkodą. Na podstawie tych cyfr ogólną ilość stowarzyszeń spożywczych w Europie ocenić można w przybliżeniu (hypotetycznie tylko) na 8,000, ogólną ilość ich członków zapisanych (*nie* licząc ich rodzin) na 4 miliony (z rodzinami do 20 milionów); obrót ich, czyli wartość spożycia, na 2 miliardy franków.

Jak widzimy, w Danii przedewszystkiem, a także w Szwajcaryi i w Finlandyi, kooperatywy spożywcze rozsiane są gęściej po kraju; w Danii skupiają one nawet nieco większą część ludności, niż w Anglii, bo należy do nich mniej więcej 1 mieszkaniec na 20 (zawsze nie licząc rodzin), gdy w Szwajcaryi 1 na 28, a w Anglii 1 na 23 (w Niemczech 1 na 100, we Francyi i Austryi nieco mniej, w innych krajach znacznie mniej). Ale Anglia stoi na pierwszem miejscu i zostawia daleko za sobą wszystkie inne kraje pod względem rozmiarów działalności swych stowarzyszeń współdzielczych, pod względem ich obrotu. W Anglii przypada 732 fr. obrotu rocznie na każdego członka, gdy w Holandyi 412, w Szwajcaryi 403, w Niemczech 303, a w Danii tylko 213. Obrót roczny stowarzyszeń angielskich wynosi przeciętnie 854,704 fr., a dalej co do wielkości pojedynczych kooperatyw idą: Holandya, która ma kooperatyw niewiele, lecz z wielkimi interesami (310,000 fr. obrotu), Niemcy (279,401 fr.), Szwajcarya (145,507) i Dania (tylko 33,213 fr.).

W r. 1901 liczba stowarzyszeń spożywczych wzrosła jeszcze w Anglii w porównaniu z rokiem poprzednim. Doszła ona do 1464, obejmujących 1,793,770 członków, czyli z rodzinami do 8 milionów głów, z obrotem rocznym 1,319 milionów fr., co daje 741 fr. na członka zapisanego.

Kooperacya angielska przeszła już ważną fazę, w którą dopiero wchodzą stowarzyszenia spożywcze lądu stałego. Wszędzie już mianowicie współdzielczość zwyciężyła drobny sklep, w wielu wypadkach wprost zabiła go swojem współzawodnictwem. Lecz sama znów bronić się musi z kolei przed konkurencyą nowej formy handlu detalicznego wielkich magazynów kapitalistycznych, których wyższość polega na umiejętności i sposobności robienia tanich a dobrych zakupów. W celu osiągnięcia tej samej korzyści, stowarzyszenia spożywcze zaczynają łączyć się w związki zakupowe, prowadzone przez fachowców, a przedstawiające rynek ilościowo tak poważny, że wszelki wytwórca musi się z nim liczyć, że myśleć zaczynają nawet o walce z trustami. Jednak dopiero Dania w r. 1884, Holandya w 1890, Szwajcarya w 1892 i Niemcy w 1893 wprowadziły podobną instytucyę w czyn. Francuska „Giełda stowarzyszeń spożywczych,“ założona dopiero w 1900, nie wchodzi jeszcze prawie zupełnie w rachubę i dopiero teraz stoi tam na porządku dziennym rozwinięcie tej instytucyi na wzór związku zakupowego hamburskiego. W Danii do związku zakupowego należy 601 stowarzyszeń z 81,135 członk.; dają one związkowi 15 mil. fr. obrotu; w Szwajcaryi dwa istniejące związki obejmują 240 stowarzyszeń z 92,030 czł. i mają 7 mil. obrotu; w Niemczech w r. 1900 należały 104 stow. z 200 tys. czł. i było 10 mil. obrotu, lecz w r. 1901 ilość stawarzyszeń wzrosła do 188, a obrót się prawie podwoił. W Holandyi związek obejmuje 28 stowarzyszeń i ma 2 miliony obrotu, czyli trzecią część obrotu kooperatywnego wogóle. Lecz w Anglii już od r. 1864, w Szkocyi od 1868 istnieją dwa potężne *Wholesales*, w Manchesterze i w Glasgowie, czyli dwa wielkie magazyny, albo lepiej — biura zakupu. Należą do nich prawie wszystkie stowarzyszenia spożywcze bez wyjątku, bo w 1900 r. 1,366 na ogólną ilość 1,339. W ostatnim roku Wholesale angielski sprzedał stowarzyszeniom towarów za 441 mil. fr., Wholesale szkocki za 142½ mil. Z tych towarów już znaczną część (w Anglii mianowicie 14% wartości, w Szkocyi—25%) obydwa Wholesales wytwarzają na własną rękę, we własnych fabrykach, rozrzuconych po różnych miastach — co po za Anglią istnieje tylko w Danii i od ostatniego roku w Szwajcaryi, na bardzo małą skalę. A mianowicie Wholesale angielski wytwarza na własną rękę: obuwie, tkaniny wełniane, ubranie, flanelę, mydło, świece, biszkopty, konfitury, konserwy, pikle, słoninę, wędliny, mąkę, tytuń, papier, meble; w ostatnim roku na folwarku własnym, Roden, zaczął wytwarzać owoce i ogrodowizny. Związek ten posiada przytem pięć własnych okrętów, sprowadzających z różnych krajów herbatę, masło, jaja, sery (z Danii), jarzyny, owoce itd. Wholesale szkocki wytwarza w swych fabrykach: obuwie, tkaniny, ubranie, szczotki, mąkę, konserwy, tytuń, masło, papier. Wholesale angielski zatrudnia 9,244 urzędników i robotników, ma 23¼ mil. fr. kapitału, 66¼ mil. fr. obrotu i 1,830,000 zysku; szkocki — 4,988 osób personelu, 13⅓ mil. kapitału, 36,7 mil. obrotu, 2 mil. zysku. Przytem Wholesale angielski ma także oddział bankowy dla kooperatyw związkowych, w którym obrót funduszów wyniósł w ciągu ostatniego roku 945 mil. fr.!

Prócz tego istnieją też samodzielne kooperatywy wytwórcze; było ich w r. 1901 w Anglii 117, w Szkocyi 19. Wytwory swoje sprzedają one także na rynku ogólnym, ale głównie starają się o zbyt u stowarzyszeń spożywczych. Otóż rzecz ciekawa, że na tym rynku współdzielczym fabryki Wholesale'ów wytwarzają samodzielnym a niewielkim stowarzyszeniom wytwórczym groźne współzawodnictwo. W roku ubiegłym ogólny obrót tych kooperatyw wytwórczych, zatrudniających ogółem 8,000 ludzi, wynosił 71 mil. fr., lecz obrót ten wzrasta już znacznie, bez porównania wolniej, niż obrót Wholesale'ów: pierwszy o jakieś 2%, drugi mniej więcej o 13% w ciągu ubiegłego roku. Na ostatnim kongresie współdzielczym w Exeter dały się słyszeć skargi na to ze strony samodzielnych stowarzyszeń wytwórczych. Stwierdzono też, że jeszcze 44% wszystkich towarów, sprzedawanych przez kooperatywy spożywcze, nie wytwarza się sposobem współdzielczym, lecz pochodzi z przedsiebiorstw kapitalistycznych, co kongres uznał za zbyt wiele jeszcze i polecił władzom swym dążyć do ciągłego rozszerzania produkcyi własnej.

Musimy jeszcze zwrócić uwagę na kilka ważnych i ciekawych stron działalności kooperatyw wielkobrytańskich. Oto przedewszystkiem zajmują się one gorliwie budowaniem odpowiednich domów mieszkalnych dla swoich członków. W ogólnej sumie majątków wszystkich stowarzyszeń współdzielczych, która wynosi do 780 mil. fr., 130 mil. przedstawia wartość, dotychczas przez stowarzyszenia wynajętych lub na raty sprzedanych swoim członkom.

Dalej, mamy działalność wychowawczą. Związek stowarzyszeń współdzielczych (Unia), istniejący już od 34 lat, utworzył mianowicie przy zarządzie głównym (Central Board) w Manchester kilka komisyj. Istnieje tam komisya parlamentarna, przeznaczona do pilnowania interesów ruchu współdzielczego w ciałach prawodawczych; komisya mieszana kooperatywno-zawodowa, której zadanie polega na załatwianiu sporów między kooperatywami a zatrudnionymi przez nie robotnikami w sprawach warunków pracy i zapłaty; komisya wytwórcza, propagandy i wreszcie „komisya wykształcenia współdzielczego“ (Committee of Education). Ta ostatnia organizuje dla członków stowarzyszeń i dla ich dzieci wykłady z następujących czterech przedmiotów: historyi ruchu współdzielczego, historyi przemysłu, prawa i obowiązków obywateli, oraz z buchalteryi. Do egzaminów na świadectwa z ukończenia tych kursów stanęło w r. z. 1,034 osób dorosłych i 1,996 dzieci. Prócz tego istnieją kursa wyższe, przygotowujące w zakresie ekonomicznym i prawnym do obowiązków zarządzających kooperatywami. Co rok komisya oznacza jeden temat, o którym wyznaczeni

prelegenci, zaopatrzeni przez komisye we wszelkie potrzebne wskazówki, mówią na zgromadzeniach ogólnych. W r. z. tematem były mieszkania robotnicze, w obecnym — sprawa gruntowa. Budżet roczny komisyi wychowawczej związku współdzielczego wynosi 1½ mil. fr.

Ostatni kongres w Exeter zajmował się gorliwie nowym projektem szkolnym ministeryum Salisburego i Balfoura. Projekt ten, bardzo skomplikowany, sprowadza się w gruncie rzeczy do tego, że szkoły elementarne wyjmuje z pod kontroli dotychczasowej t. zw. (wybieralnych) biur szkolnych i oddaje pod kontrolę również wybieralnych, lecz znacznie mniej postępowych, czysto administracyjnych rad hrabstwa, a w dodatku naukę religii, która dotychczas była neutralną względem różnych wyznań, oddaje pod wyłączną kontrolę duchowieństwa anglikańskiego. Kongres kooperatyw, na którym panował w sprawach szkolnej i wyznaniowej duch postępowy, zaprotestował energicznie przeciw temu projektowi rządowemu. Wogóle, związek kooperatywny, choć nie należy do żadnego stronnictwa, nie waha się jednak zajmować polityką, o ile tego wymaga interes ruchu współdzielczego. Na tym samym kongresie uchwalono ostry protest przeciw zamiarom protekcyonistycznym rządu, zmierzającym do oclenia, a więc podrożenia środków spożywczych.

Jedno dziwnie uderza w całym tym ruchu — to niedostateczne wynagrodzenie urzędników i robotników, zatrudnionych w kooperatywach, których, licząc razem z (niewielu zresztą) członkami kooperatyw wytwórczych, jest ogółem 84,000. Tylko 300 stowarzyszeń daje im udział w zyskach — i to niewielki (od 2 do 6%). Kongres domagał się od parlamentu wydania surowego prawa przeciw przekupstwu i łapownictwu, zarówno przeciw dającym lub próbującym dawać, jak przeciw biorącym, a to dlatego, że sekretarze i cały zarząd kooperatyw dają się często przekupywać dostawcom na szkodę ogółu stowarzyszonych. Otóż kilku mówców wytknęło śmiało, jako przyczynę tego smutnego zjawiska, całkiem niedostateczne wynagradzanie urzędników przez kooperatywy!..

Rad.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

Prawit. Wiest. ogłosił okólnik zarządzającego ministeryum oświaty, który podajemy w streszczeniu:

W celu zapobieżenia zbytniemu wyczerpaniu młodzieży zaprowadza się na rok, rodzajem próby, zwalnianie uczniów od zajęć na jeden dzień w tych tygodniach, w których nie przypada żadne święto, z warunkiem, ażeby dnia tego nie oddawano do dyspozycyi uczniom, lecz przeznaczano go na wycieczki, odczyty, zwiedzanie muzeów itp. rozrywki pożyteczne, stosownie do pory roku i warunków miejscowych, oraz ażeby liczba dni takich nie była wyższa nad siedem. Oznaczenie godzin rozpoczynania wykładów pozostawia się uznaniu rad pedagogicznych, których uchwały w tym względzie zatwierdza władza okręgowa. Godziny rozpoczynania lekcyi w różnych szkołach jednego miasta powinny być do siebie mniej więcej zbliżone. Pierwsza i czwarta pauza między lekcyami trwać ma najmniej 10 minut, druga od 10 do 20 minut, trzecia zaś od 30 do 40 minut, stosownie do uchwały rady pedagogicznej, która posiada również prawo, za zgodą kuratora okręgu, dzielić dzień na dwie części z pauzą od 2 do 3 godzin na obiad i wypoczynek, stosownie do warunków danego miasta, z zachowaniem w różnych zakładach mniej więcej jednakowego podziału. Na dnie poniedzielne i poświąteczne nie powinny być zadawane uczniom prace nadzwyczajne, a to dlatego, ażeby zapewnić im zupełny odpoczynek. W celu ułatwienia uczniom przygotowania się do lekcyi i przyczynienia się do fizycznego ich rozwoju dozwala się urządzać, gdzie to jest możliwem, wspólne zajęcia w zabudowaniach szkolnych. Na władze średnich zakładów naukowych wkłada się obowiązek zapewnienia uczniom w szkole gorącego śniadania, a przynajmniej herbaty za możliwie najniższą cenę, pokrywającą tylko koszty, a nawet używanie na ten cel specyalnych środków zakładu.

Następnie okólnik zawiera szczegółowe przepisy i wskazówki, jak prowadzić należy gry i zabawy uczniów, a to w celu wyrobienia w nich siły fizycznej, lekkości, zręczności itp. Gry, zabawy i ćwiczenia wszelkiego rodzaju, jak gimnastyka, łyżwiarstwo, wiosłowanie, jazda na rowerach, pływanie, taniec, śpiew, praca ręczna, gra na instrumentach muzycznych itd., prowadzone być winny pod umiejętnym kierunkinm specyalistów najmniej przez pół godziny dziennie. Środki na prowadzenie wymienionych wyżej zadań mogą być czerpane albo z opłat od uczniów, albo też z osobnych funduszów szkolnych.

Od osób, pragnących zająć miejsca lekarzy zakładowych, wymaganą będzie przedewszystkiem znajomość hygieny i obowiązek dokonywania peryodycznych rewizyj lekarskich, zwłaszcza względem nowowstępujących, stałego dozoru sanitarnego, prowadzenia kontroli sanitarnej nad każdym z uczniów i składania kuratorowi okręgu corocznego sprawozdania. Lekarze obowiązani są baczyć zwłaszcza na wszelkie pojawiające się wśród uczniów choroby zaraźliwe i przedsiebrać wszelkie środki ku ich ograniczeniu, oraz starać się o utrzymanie w zakładzie świeżego powietrza i wentylacyi, władze zaś szkolne powoływać powinny specyalistów do badania wzroku i stanu zębów uczniów.

Okólnik zaleca wreszcie władzom naukowym zbiorową pieczę o stan i rozwój fizyczny uczniów i wpajanie w nich od lat najmłodszych tej prawdy, że zachowanie zdrowia stanowić powinno jedno z najważniejszych dążeń ludzkich.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. P. Emilia Rylska, wdowa po inżenierze komunikacyj, ofiarowała Politechnice warszawskiej księgozbiór obejmujący około 2000 tomów z zakresu nauk technicznych.

— Towarzystwo pracowników handlowych m. Warszawy zakłada kasę pogrzebową dla swoich członków. Podzielona będzie na dwie kategorye: należący do pierwszej opłacać będą po 1 rb., w razie śmierci uczestnika, po którym pozostała rodzina otrzymywać będzie 500 rb., w drugiej, składka 50 kop., a w razie zejścia wypłacone będzie rodzinie 250 rb. Liczba członków każdej kategoryi nie może przewyższać 500. Należeć mogą do kasy wszyscy pracujący w handlu i przemyśle, połączeni familijnie z członkami Towarzystwa.

Szkoły i wychowanie. Zarządzającym zakładami naukowymi nadane zostało prawo wyjednywania odroczeń dodatkowych w odbywaniu powinności wojskowej, do czasu ukończenia wykształcenia, dla wychowańców zasługujących na to uwzględnienie.

— Ogłoszone zostało postanowienie z d. 25 czerwca o utworzeniu w politechnice warszawskiej wydziału górniczego z kursem czteroletnim.

— W kieleckiej szkole elementarnej miejskiej w roku bieżącym wprowadzona będzie nauka rzemiosł; na urządzenie warsztatów ministeryum oświaty wyznaczyło 2,000 rb.

— Zarządzający ministeryum oświaty wydał okólnik, według którego znosi się praktykowane dotychczas nadsyłanie rektorom uniwersytetów oraz dyrektorom wyższych specyalnych zakładów naukowych sekretnej charakterystyki słuchaczów szkoły średniej. Po ukończeniu szkoły wydawany ma być na przyszłość zupełny wyciąg z dzienników o sprawowaniu, który dołączać należy do prośby o przyjęcie w poczet studentów. Określone dla wyższych zakładów normy pozostają bez zmiany, władza jednak ma prawo przyjąć na kurs pierwszy ponad normę 10%. Do uniwersytetu Ś-go Włodzimierza w Kijowie wolno jest przyjąć ponad komplet 200 kandydatów na kurs pierwszy. Liczbę studentów na wyższych kursach uniwersytetu w Moskwie wolno jest doprowadzić ponad normę do 300. Co do osób wyznania żydowskiego, przywraca się na rok przyszły dla uniwersytetu warszawskiego i noworosyjskiego w Odesie, jako też dla instytutu politechnicznego w Rydze normy procentowe, zmiejszone mocą rozporządzenia z r. 1901. Procent osób pochodzenia żydowskiego we wszystkich wyższych zakładach naukowych określa się według ogólnej liczby kandydatów nowowstępujących. Przyjmowanie do wyższych zakładów naukowych studentów, wydalonych za udział w zaburzeniach na czas nieokreślony, może nastąpić nie wcześniej, jak z początkiem 1903—1904 roku akademickiego. Wydaleni zaś za udział w zaburzeniach na czas określony, mogą być przyjmowani po upływie tego terminu; wydaleni bez zakazu wstępowania do innych zakładów naukowych, mogą być przyjmowani nie wcześniej, jak z początkiem roku 1903—1904.

— W Lublinie, zamiast szkoły handlowej, na którą otrzymano już pozwolenie, postanowiono otworzyć siedmioklasową szkołę komercyjną.

— Rząd austryacki odmówił pozwolenia na założenie polskiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie.

— W Kijowie wniesiono 1,230 podań o przyjęcie do uniwersytetu św. Włodzimierza i 1,274 — do politechniki.

Ruch kobiecy. W „Zbiorze praw" ogłoszono prawo, zatwierdzone d. 25 czerwca, mocą którego istniejące przy I-em gimnazyum żeńskiem w Warszawie tymczasowe kursy pedagogiczne języka francuskiego i niemieckiego zamienione zostają na stałe. Uczenice, kończące te kursy, otrzymają prawo wykładania języków nowożytnych we wszystkich klasach gimnazyów żeńskich i innych żeńskich zakładach naukowych w państwie. Pierwsze trzy lata uczenice obowiązane są przesłużyć w warszawskim okręgu naukowym, jeżeli w chwili ukończenia przez nie kursów znajdować się będą miejsca wolne.

— Reskryptem ministeryum wyznań i oświaty w Wiedniu przystęp dla kobiet do wyższych studyów technicznych jest wzbroniony, wskutek czego w przyszłym roku akademickim nawet słuchaczki nadzwyczajne nie będą przyjmowane do politechniki lwowskiej.

Zdrowie publiczne. Postanowiono otworzyć w Warszawie, z funduszów miejskich, ambulatoryum dla umysłowo chorych, zatrzymywanych na ulicach przez policę, oraz dla osób, podejrzanych o obłąkanie. Dotychczas tego rodzaju chorych trzymano w aresztach policyjnych.

— We Lwowie zdarzyło się kilka wypadków śmierci z powodu zarażenia wąglikiem. Dotknięci tą chorobą zajęci byli pracą u rzeźnika, trudniącego się hurtową dostawą mięsa. U wszystkich objawy zakażenia wystąpiły naprzód na twarzy, co daje powód do przypuszczenia, że jad przeniosły muchy.

— W Aleksandryi cholera szerzy się w olbrzymich rozmiarach. W przeciągu jednego tygodnia, zachorowało 1,127 osób, zmarło 790.

Z Poznańskiego. Według doniesienia pism poznańskich, niemieccy urzędnicy na wschodzie otrzymają antypolskie dodatki do pensyi, jako osobne wynagrodzenie za przebywanie śród Polaków. Nauczyciele mają otrzymać rocznie 200 marek takiego antypolskiego dodatku.

— Prezes regencyi poznańskiej wystosował, do radców ziemiańskich zapytanie, czy z powodu zasądzeń akademików, gimnazistów, dzieci wrzesińskich itp., nie zbierano składek na ich korzyść. Nakazał przytem, ażeby osoby, zbierające składki, pociągnięte zostały do odpowiedzialności sądowej. Władze policyjne mają zabraniać wszelkich zgromadzeń, przedstawień i zebrań, mających na celu niesienie pomocy skazanym.

Literatura i prasa. W Warszawie wychodzić będzie pod redakcyą dr. Edmunda Biernackiego i dr. Józefa Webera dwutygodnik, poświęcony sprawom lekarskim ściśle naukowym p. t. *Postęp lekarski.*

Ze sztuki. D. 20 sierpnia w Tow. Zachęty otworzono wystawę pośmiertną dzieł artysty malarza, Alek-

sandra Gierymskiego. Całkowity z niej dochód przeznaczony będzie na kupno ziemi i budowę grobowca na cmentarzu w Rzymie, gdzie spoczywają zwłoki naszego artysty.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj wprowadza nowe warunki ubezpieczenia bagażu podróżnych. Według projektu wysokość szacunku wynosić będzie dla klasy I—240 rb., dla II—160 i dla III—80 rb.

— Departament celny zawiadomił zarządy okręgów celnych, ażeby posyłki, nadchodzące z Austryi, przepuszczane były bez żadnych przeszkód. Dotychczas władze pograniczne wymagały, wbrew międzynarodowym przepisom pocztowym, opakowania w płótno lub skrzynik drewniane.

Sprawy ekonomiczne. Dnia 15 września rozpocznie się w Piotrkowie jarmark jesienny na inwentarz i narzędzia rolnicze.

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Pilicy, pow. Olkuskim.

— Wystawę ogrodniczą i zjazd ogrodników w Rydze, z powodu chłodów, odroczono do roku przyszłego.

— D. 31 sierpnia otworzono w Berdyczowie wystawę przemysłowo-rolniczą. Trwać będzie do 14 września r. b.

Katastrofy. Orkan, szalejący na wyspie Majorce, zburzył miasto Felanix. Mnóstwo ludzi znalazło śmierć pod gruzami domów.

— Skutkiem burzy przewróciło się 9 wagonów pociągu, idącego z Aten do Kefisii; kilkadziesiąt osób odniosło rany.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Asz. z ulicy Twardej. Takie wypracowania lepiej zostawiać we własnym koszu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Августа 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.